Egzemplarz obowiązkowy
BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

BRUCE LEE: prawda i legenda

„Motor" znów w I lidze — rozmowa z trenerem drużyny na str. 9

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

kamena

1933 – 1983 Kamena 50 lat CHEŁM-LUBLIN

NR 15 (782) 17-30 lipca 1983 CENA 10 ZŁ

MĄDROŚĆ I EMOCJE 1944

Ireneusz J. Kamiński

„JEDNYM z najpilniejszych zadań Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego będzie na terenach oswobodzonych odbudowa szkolnictwa i zapewnienie bezpłatnego nauczania na wszystkich szczeblach. Przymus powszechnego nauczania będzie ściśle przestrzegany. Polska inteligencja, zdziesiątkowana przez Niemców a zwłaszcza ludzie nauki i sztuki zostaną otoczeni specjalną opieką. Odbudowa szkół zostanie natychmiast podjęta"

Manifest Lipcowy [illegible] ogłoszony w czasie wojennym [illegible] przedstawiający m. in. zarys podstawowych reform politycznych i społeczno-gospodarczych kreujących przyszłe państwo polskie, z konieczności niejako technicznych tyle tylko miejsca co w cytowanym fragmencie poświęcał oświacie i kulturze. Inna sprawa, że precyzyjne zdefiniowanie modelu nowej kultury było wówczas zwyczajnie niemożliwe. Postulaty sformułowane w tej dziedzinie przez różne ugrupowania lewicy międzywojennej, KPP i awangarde artystyczną, specyficzne doświadczenia wyniesione przez polskich działaczy i twórców z pobytu w Związku Radzieckim, czy przemyślenia członków Koła Kultury Nauki i Wychowania przy Krajowej Radzie Narodowej, które powstało na początku stycznia 1944 roku — to wszystko wymagało weryfikacji, dostosowania do aktualnych warunków rozwinięcia, aby złożyć się na ów model. Jedno przecież nie ulegało kwestii: że ta nowa kultura musi mieć charakter demokratyczny. Jedenaście dni przed ogłoszeniem Manifestu PKWN w organie PPR „Rada Narodowa" stwierdzono:

„Zagadnienie demokratyzacji kultury jest w pierwszym rzędzie organizacją masowego, powszechnego upowszechnienia masom dóbr kulturalnych i wytwarzanie na nie społecznego zamówienia. Demokratyzacja kultury sprowadza się więc do takich form organizacji kultury, które umożliwiają nie tylko zaspokojenie potrzeb duchowych mas ludowych, ale zapewnią im wpływ i udział w przemianach kultury"

To ogólne założenie ideologiczne wymagało przecież wprowadzenia w życie instytucjonalnej konkretyzacji, a zatem kompetentnych ludzi, którzy podjęliby wysiłek przyobleczenia słowa w kształt realny. Tymczasem w sferze organizacji kultury wzorce, na jakich ewentualnie mógłby się oprzeć PKWN, także były skromne. Nie wchodziło nawet w rachubę przejęcie systemu z lat międzywojennych, bo takowy faktycznie nie istniał. Powołane na progu II Rzeczypospolitej Ministerstwo Sztuki i Kultury rychło zostało zredukowane do departamentu w ramach Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, aby spaść ostatecznie do poziomu resortu. Największym jednak problemem był brak odpowiednich ludzi. To stwierdzenie ilustrują dane, które choć ustalone dopiero po wojnie, w 1944 r. były przynajmniej przeczuwane. Straty osobowe, jakie podczas wojny i okupacji poniosły polskie środowiska twórcze. Tak zatem w czasie wojny lub w jej wyniku straciło życie 235 plastyków, 312 aktorów i reżyserów, 56 literatów, 80 muzyków i 122 dziennikarzy. Ponadto zginęło lub zmarło 727 pracowników naukowych wyższych uczelni (29,5 proc. stanu przedwojennego), 91 archiwistów, 87 bibliotekarzy, 158 badaczy regionalnych, 62 historyków kultury sztuki, pracowników muzeów i archeologów, 69 działaczy towarzystw naukowych, 110 pracowników szkół wyższych nie mających prawa nadawania stopni naukowych. Straty w grupie nauczycieli szkół podstawowych sięgnęły niemal 10 tys. osób... W płaszczyźnie ogólniejszej ustalono też (badania Janusza Żarnowskiego), że w czasie wojny zginęło 37,5 proc. z ogółu tych osób, które dyplomy wyższych uczelni uzyskały w Polsce międzywojennej.

Demokratyczna władza obiecywała opiekę nad pozostałymi przy życiu ludźmi sztuki, w ogóle nad inteligencją, gdy tymczasem we własnych instancjach odczuwała początkowe istre braki kadrowe, nie mówiąc już o sytuacji w grupie działaczy społecznych, którzy mieliby transmitować jej program w praktyke życia publicznego.

Dokończenie na str. 8

Lublin wyzwolony. Fot. Archiwum

„Kamena" tygodnikiem!

Decyzją Zarządu Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa—Książka—Ruch" „Kamena" z dniem 1.01.1984 r. zostanie przekształcona w tygodnik. Nakład — 25 tys. egzemplarzy. Objętość — 16 stron. Cena — 15 zł.

Jako tygodnik, pismo zyska na aktualności, a ponadto zachowując dotychczasowe, potwierdzone dobrymi tradycjami, związki z Lubelszczyzną, będzie posiadać ambicje objęcia swoją problematyką i zasięgiem również regionów sąsiednich, m.in. Podlasia i Rzeszowszczyzny. Taka formuła czyni zadość ambicjom i staraniom zespołu redakcyjnego, jak i oczekiwaniom Czytelników.

Red.

z notatnika

2 VII Tygodnik „Veto" (nr 57) zamieścił aż na trzech stronach dyskusję przeprowadzoną w redakcji z udziałem min. prof. Zdzisława Krasińskiego. Oto kilka myśli profesora:

● *Polacy, zdaje mi się, przestali tolerować jakiekolwiek rozsądne rozpiętości między płacami. Niedawno Ośrodek Badania Opinii Publicznej PR i TV podał, że uznajemy jako najniższe i godziwe uposażenie 15 000 zł, a najwyższe na poziomie 25 000. Po tej informacji chwyciłem się za głowę i powiedziałem: przy takim myśleniu z kryzysu nie wyjdziemy. U naszego największego sąsiada rozpiętość między minimalną płacą, a płacą profesora jest jak 1 : 17. A my nie jesteśmy w stanie zaakceptować nawet dwukrotnej rozpiętości.*

● *I co z tego, że nasz profesor zarabia mało w przeliczeniu na dolary? A skąd, u diabła, każdy profesor w Polsce ma samochód, a co któryś wybudował sobie willę? Moi zagraniczni znajomi dziwią się: jak to się dzieje, że w dolarach prawie nic nie zarabiacie, a standard macie jak geniusze!*

● *Nasze poglądy na płace są cokolwiek skrzywione. W rzeczywistości zarabiamy znacznie więcej niż dostajemy do ręki. Gdyby do poborów dodać podatki od funduszu płac, składki na ZUS, dotacje itp., okazałoby się, że zarabiamy dwa razy więcej. Wówczas jednakże powinniśmy płacić 10 zł za bilet tramwajowy, a 3 500 zł za przejazd I klasą pociągiem ekspresowym z Poznania do Warszawy, czyli płacić według rzeczywistych kosztów. Czynsz i inne opłaty za 3-pokojowe mieszkanie spółdzielcze wynosiłyby około 5000 zł. Nie zauważyłem również, byśmy chcieli powrotu do pełnej pracy oraz (co jest konsekwencją) do płacenia za wszystko pełnych kosztów. Na przykład za szpital. Dzienny pobyt w szpitalu w Szwajcarii kosztuje 180 dol. U nas jest za darmo. Nie będąc najbogatszym krajem, jakoś sobie radzimy. Nie ma żebractwa, nie ma wielkiej biedy. A proszę pamiętać, że wydajność pracy w Polsce jest 4-krotnie niższa niż na Zachodzie.*

● *Kiedy wchodziły nowe ceny, naciskano mnie, aby wszystko, co dla dzieci — ołówki, kredki, gumki — pozostawić tanie. A KIEDY DZIECKO MA SIĘ UCZYĆ OSZCZĘDZANIA? Kiedy ma zdecydować, czy wyrzucić jeszcze prawie nowy ołówek, czy go do końca używać, dlatego właśnie, że kosztuje, że matka każe tego pilnować. To są pierwsze lekcje!*

● *Na sprzedaży kawy ludzie zbijali fortuny, dlatego wprowadziliśmy dość wysoką stawkę celną. Wysokie zarobki tanim kosztem bulwersowały społeczeństwo. [...] W kuźni w Fabryce Samochodów Ciężarowych w Lublinie pracuje robotnik za 12 000 zł miesięcznie. Na głowę kapie mu woda, stoi na jednej nodze jak bocian, bo drugą trzyma na wysoko zawieszonym pedale. W ręce trzyma nagrzany, ciężki sprzęt. Jeśli usłyszy, że ktoś kupił za granicą kawę i zarobił na tym 100 tys. zł, to szlag go może trafić.*

● *Uważam, że Polacy chodzą najlepiej ubrani w całej Europie. Zaspokajają swoje podstawowe potrzeby w sposób niezwykle wyszukany i wyrafinowany. Jeździłem po świecie i wiem, że nie ma drugiego narodu wydającego tak potężne pieniądze na ubrania.*

● *Zafundowaliśmy sobie dodatkowy miesiąc wakacji, rezygnując z pracy w soboty. Zniknęły trzecie zmiany, poza górnictwem i hutnictwem i gospodarką komunalną. I tego nie mogę zrozumieć. Kraj, który przecież nadmiaru bogactwa nie miał, dlaczego tak szybko zrezygnował z pracy, skoro tylko ta może dać dobra materialne?*

Mogę cytować dalej, zainteresowanych odsyłam do tygodnika „Veto". Niektóre myśli ministra popieram, z niektórymi niezupełnie się zgadzam. Znam np. wielu profesorów, którzy nie mają samochodu, i tylko kilku, którzy mają, bądź mają mieć wille. No, ale może w Warszawie lub w Poznaniu, skąd pochodzi min. Krasiński, jest inaczej. Nie sądzę również, aby Polacy chodzili najlepiej ubrani w całej Europie, choć na pewno zimą na ulicach Krakowa widzi się więcej ludzi w kożuchach niż, dajmy na to, na ulicach Hamburga. Tu i tam jest inny klimat, fakt, ale może panuje i inna moda i inne są kryteria elegancji. Gdzie wreszcie w dzień p o w s z e d n i min. Krasiński spotyka tylu Polaków-elegantów? Nie sądzę, by w gmachu Prezydium Rady Ministrów, bo przecież ministrów też oglądamy w telewizji i nie zawsze są oni ubrani spod igły.

Zgadzam się jednak z min. Krasińskim: na ubrania rzeczywiście wydaje się dziś potężne pieniądze. Ale tylko wówczas, kiedy chce się je szyć na miarę u prywatnego krawca bądź w spółdzielni...

Napisałem te słowa, ale muszę coś jeszcze do nich dodać, bo przypadkowo znalazłem właśnie wśród książek Rocznik Statystyczny za rok 1958. Jak wynika z niego, w 1958 roku przeciętna płaca brutto w gospodarce uspołecznionej wynosiła: w przemyśle — 1667 zł, w budownictwie — 1772 zł, w rolnictwie i leśnictwie — 1071 zł, w administracji — 1426 zł. W tymże 1958 r. za ubranie męskie z wełny 60 proc. trzeba było zapłacić 730 zł, a za ubranie z wełny 100 proc. — 2250 zł. Odbiornik radiowy „Stolica" kosztował 1950 zł, a kilogram chleba żytniego 3 zł, jajko zaś 2,10 zł.

W czerwcu 1983 r. kupiłem w sklepie uspołecznionym gotowe ubranie, wprawdzie ze sztucznego włókna, za 3 900 zł. A ile kosztuje dziś jajko? 14—15 zł. Inaczej mówiąc, dziś ubranie to 260 jajek, a przed 26 laty — 347 jajek. Potężniejsze pieniądze wydaje się więc obecnie na jaja, a nie na ubrania, oczywiście, o ile te ostatnie uda się... zdobyć. W Roczniku Statystycznym nie znalazłem dawnych cen kwiatów, ale w dniu Jana za jedną różę żądano w tym roku na lubelskim targu 90 zł. I jeszcze trzeba było stać w kolejce!

Co z tego wynika? Po prostu to, że nam, d z i s i e j s z y m pięćdziesięciolatkom, mającym w ó w c z a s ćwierć (czy nieco więcej) wieku na karku wcale nie żyło się lepiej niż o b e c n y m 25-latkom. Ja za granicą byłem pierwszy raz mając lat 26. Gdzie? W Bułgarii. A znam d z i s i a j wielu młodych, którzy zaliczyli prawie całą Europę. I krzyczą i narzekają, że aż łza się w oku kręci!

Szkoda, że min. Krasiński nie wysuwa właśnie tego typu argumentów, może wówczas jego słowa byłyby bardziej przekonywające...

Dodam jeszcze, że w 1958 r. słowo k r y z y s (ekonomiczny) raczej nie padało!

3 VII Festiwal Opolski redivivus... Z jednodniowym poślizgiem oglądamy go w telewizji. Podobał mi się Grześkowiak (jak zwykle), podobał mi się Lipiec, ale wiele piosenek, które usłyszałem, ani na moment nie utrwaliło mi się w pamięci. Jak się mogło zresztą utrwalić, skoro dykcja niektórych wykonawców była fatalna! Są gusty i guściki, to prawda, może ja mam guścik, a nie gust, ale ten guścik mówi mi, że zdarzały się teksty będące najzwyklejszą pod słońcem grafomanią. Gdzie te czasy, kiedy z piosenkarzami współpracowali wybitni poeci!

Gdy rzecz o telewizji... Zawieszono drugi program, co ma ten plus, że wiele kłótni rodzinnych będzie też zawieszonych (żona chce oglądać film, a mąż mecz piłki nożnej). Jeśli jeden program stanie się lepszy niż dwa, to chwała nowemu prezesowi PRiTV, tow. Wojciechowskiemu. Tymczasem proces jednego z jego poprzedników, Macieja Szczepańskiego, toczy się już kilkanaście miesięcy. Jestem za sprawiedliwością, za dogłębnym wyjaśnieniem wszystkich szczegółów za i przeciw oskarżonemu, ale tysiące godzin spędzonych w sali sądowej, przy ciągłym napięciu, powinny — jako kara — liczyć się podwójnie...

4 VII Wczoraj w gdańskiej hali sportowo-widowiskowej „Olivia" rozpoczęły się dwudniowe obrady ogólnopolskiej narady aktywu młodzieżowego PZPR. W dwóch wieczornych dziennikach telewizja przedstawiła relacje z obrad. Z prawdziwą przyjemnością słuchałem wystąpień poszczególnych mówców. Coś się wreszcie ruszyło! Padały konkretne propozycje, widać było twórcze zatroskanie o dalsze losy kraju. Młodzież chyba najbardziej przeżyła wstrząs po lipcu—sierpniu 1980 roku. Ona też, wrażliwa i niedoświadczona, w poważnym stopniu zaangażowała się w ruch przemian, często nie zdając sobie sprawy, jak lawinowo demokracja przekształca się w anarchię. Młodzież działała na gorąco, a ci, którzy chcieli nią sterować — na zimno...

Wicepremier Mieczysław F. Rakowski wspomniał w swym wystąpieniu na naradzie o osamotnieniu tych, którzy musieli podjąć twardą decyzję związaną z dniem 13 grudnia 1981 roku. Nawoływał też, aby mniej dzisiaj mówić już o kryzysie, a więcej o osiągnięciach ubiegłych miesięcy, co nie oznacza przecież reanimacji propagandy sukcesu.

Życie nie jest łatwe, choć byłoby z pewnością łatwiejsze, gdyby nie wielkie ambicje, które rozbudziła poprzednia ekipa rządząca, a których zaspokoić po prostu nie było można. Szliśmy ostro do przodu, a po 1976 roku dostaliśmy zadyszki, która jeszcze dzisiaj daje znać o sobie. Ale przecież nie wszystkie decyzje były błędne! Kiedy przemierza się Polskę, samochodem bądź pociągiem, gołym okiem widać, jak się ona zmieniła. Nawet pogardliwe niegdyś określenie — „p o l s k i e d r o g i" straciło na aktualności. Wszelka negacja jest wrogiem postępu, na żółwiu nikt daleko nie zajedzie, nie mówiąc już o tym, że tego typu jazda do wygodnych nie należy. Bajdurzenie o straconym pokoleniu to droga donikąd.

Dobrze, że młodzi członkowie PZPR spotkali się w Gdańsku, dobrze, że w sali „Olivii", która zapisała się w mojej pamięci z innej okazji. Każde tego typu spotkanie łączy, umacnia wiarę w siebie, w ideę, o którą się walczy...

PS. W „Przeglądzie Tygodniowym" (nr 27) na ostatniej stronie (rubryka „Z góry na dół") przeczytałem:

M. A. Jaworski napisał w „Kamenie" podanie o uwzględnienie go przy najbliższej okazji w naszej rubryce. Red. Jaworski powołał się na trzydziestoletnią (prawie) znajomość z naczelnym. Przykro nam. Ignorujemy protekcję. Ale gdyby pan przysłał, redaktorze, jedną z tych butelek (z zawartością), którą udało się panu ostatnio kupić w Chełmie, to do sprawy wrócimy...

Butelki (z w i n n ą zawartością) opróżniłem z przedstawicielem konkurencji „Przeglądu", a więc na razie sprawa nieaktualna. W każdym razie nie mogę się już powoływać na (prawie) trzydziestoletnią znajomość z naczelnym, ponieważ nie figuruje on już w stopce redakcyjnej. Zastępcę naczelnego znam, niestety, tylko lat osiemnaście, niemniej nie mogę się zgodzić z S. W. (patrz 27 numer „Polityki"), który w tekście pt. „Lukrowane łzy" nazwał go „d o b r o t l i w y m p i e l g r z y m e m", przekształconym nagle „w b o j o w e g o r e d a k t o r a »Przeglądu Tygodniowego«". Red. Romuald Karaś nigdy nie był ani d o b r o t l i w y m p i e l g r z y m e m, o czym świadczy jego twórczość, którą warto znać nie tylko z tytułów poszczególnych publikacji książkowych. Złośliwością jest też pisanie, iż *nie jest winą czytelników, że książki te nie odbiły się echem proporcjonalnym do ilości tytułów i nakładów, echem, które byłoby życzliwe bądź krytyczne. Otrzymał (Karaś) posadę zastępcy naczelnego redaktora w nowym tygodniku.*

O tym n o w y m tygodniku i pracy zastępcy naczelnego można mieć różne zdanie (mnie na przykład rażą ciągłe polemiki z „Tu i Teraz" i „Polityką"), niemniej nikt nie zaprzeczy, że „Przegląd Tygodniowy" zdobył już sobie trwałą pozycję na rynku wydawniczym, a poszczególni publicyści i reportażyści tego pisma należą do grona najbardziej rzutkich w kraju: sporo po nim podróżują i biorą na warsztat atrakcyjne tematy. Że czasami pobłądzą? Nie są w tym błądzeniu tacy znów bardzo osamotnieni!

M. A. Jaworski

KRONIKA

■ Żniwiarze żną żyto (70 tys. ha w woj. lubelskim) i rzepak (1100 ha). Urodzaj dobry. Światowe zbiory zbóż na przełomie lat 1983/84 także zapowiadają się nieźle (prognoza: 480 mln ton) i o 14 mln ton mają przekroczyć poziom spożycia. Czego nam brakuje? Np. grzybów, bo sucho w lasach (nie tylko).

■ Dobiegają końca egzaminy na wyższe uczelnie. Kandydatów mniej, niż w latach minionych. Lubelskie szkoły akademickie przyjmą na I rok 3285 słuchaczy. A propos: resort szkolnictwa wyższego sporządził listę „wiodących" ośrodków akademickich kraju, które będą preferować m.in. w rozdziale dóbr materialnych. Nie ma na niej Lublina. Przypominamy więc — pomijając z konieczności względy merytorycznie zasadnicze — że UMCS to pierwsza uczelnia państwowa powstała w Polsce Ludowej.

■ Zakończył się XVII Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym. W kategorii kapel główną nagrodę („Basztę") otrzymał zespół Tadeusza Jedynaka z Przystołowic Małych (woj. radomskie), a dwie pierwsze nagrody — kapela Andrzeja Obrochty z Zakopanego i muzycy z zamojskich Podkorców. W kategorii zespołów śpiewaczych odpowiednio: zespoły z białostockiej Długołęki, z suwalskiego Lipska, z Głuska Dużego w woj. lubelskim. W grupie instrumentalistów: Karolina Łapowska z Paar w Zamojskiem, Stefania Gadzińska ze Zdzisławic (tarnobrzeskie) i Jan Jendrol z Poronina. Laureaci konkursu „Duży — Mały": Edward Igryś z Leszna, Władysław Rybka ze Skołyszywa w krośnieńskim i Henryk Kretewicz z Głogowa Małopolskiego w woj. rzeszowskim. Dziennikarzom najbardziej podobała się kapela z Lubartowa, działająca przy Rejonowej Straży Pożarnej, więc nagrodzili ją żywą kaczką.

■ Przy Krasnostawskim Domu Kultury działa od kilku lat grupa literacka „Słowo", która dzięki wysiłkom patrona po raz trzeci z kolei spotkała się na „Koczowisku literackim", urządzonym w lesie. W czasie dwudniowego seminarium rozważano różne problemy literatury w kraju, omawiano własną twórczość. W roli „starszych kolegów" występowali Adam Kulik i Dominik Opolski.

■ Prawie stu polonusów z Francji, Austrii, USA, Kanady, Szwecji i Wielkiej Brytanii zjechało na zajęcia Studium Folklorystycznego, organizowanego przez Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS i Towarzystwo „Polonia". Przy okazji: kilka pracowitych dni spędzili w Warszawie (nie tylko tam) działacze związku polonijnego „Zgoda" z RFN, zaproszeni przez wspomniane Towarzystwo. Sytuacja w środowiskach polonijnych w świecie — skomplikowana.

■ „Pejzaż w twórczości malarzy i grafików polskich XIX i XX wieku" to tytuł pięknej wystawy, jaką ze zbiorów własnych urządziło Muzeum Okręgowe w Lublinie. Polecamy!

■ 14 członków Zjednoczonego Kościoła Ewangelicznego ochrzciło się, zgodnie z regułą ceremoniału wchodząc w białych szatach do basenu lubelskiego WOSiR-u. Kościół liczy w kraju 12 tys. wyznawców. Kaplica dwóch zborów istniejących w Lublinie mieści się przy ul. Rusałka.

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (11)

„Wacio”

Mirosław Derecki

NA PIERWSZY rzut oka Wacław Gralewski prezentował się niepozornie. Niski, krępy, ubrany bez troski o elegancję, a z myślą o wygodzie: luźne spodnie ledwie sięgające kostek, za duże o dwa numery buty, na grzbiecie — wyszarzała jesionka zimą, sportowa bluza latem. Na głowie nosił Gralewski śmieszny granatowy berecik pamiętający chyba przedwojenne czasy, albo zieloną popelinową „dżokejkę”.

Kiedy szedł ulicą swym charakterystycznym, lekko człapiącym krokiem, obciążony dwiema wypakowanymi po brzegi siatkami na zakupy, z których wyzierała na świat główka sałaty, dorodny kalafior lub zielony ogon szczypioru, wyglądał jak przeciętny emeryt, zwykły szary człowiek, który pod koniec nijakiego życia syci się wreszcie pełną piersią dalekimi podróżami... pomiędzy targiem a własną starokawalerską kuchnią. Ale spod daszka dżokejki patrzyły przenikliwe, „stalowe” oczy. Oczy hipnotyzera. Oczy człowieka, który się ani przeciwieństwom życia, ani kulom — nie kłania... I może to moje wspomnienie o „Waciu” Gralewskim powinno raczej nosić tytuł: „Człowiek o stalowym spojrzeniu”?

Wszystkie książki „Wacia” miały mocne, zdecydowane tytuły, w których „dźwięczała czynów stal”: „Pięść Herostratesa”, „Ogniste koła”, „Stalowa tęcza”, „Gorejące ślady”, „Bieg po krawędzi”... Pisał w nich o przedwojennym artystycznym środowisku lubelskim, o swojej przyjaźni z Józefem Czechowiczem, o latach okupacji spędzonych w Lublinie, a także: o szlaku bojowym, jaki przebył w szeregach I Armii, poprzez Wał Pomorski i Kołobrzeg, do samego Berlina. W tych wspomnieniach, przetworzonych zwykle w bardzo dla niego charakterystyczny, „artystyczny” sposób, jawił się autor jako osoba wszystkowiedząca, postać prawie opatrznościowa, popadająca wciąż w niezwykłe tarapaty, z których zresztą zawsze, dzięki niesamowitemu zbiegowi okoliczności lub własnej przemyślności i odwadze, wychodzi w sposób zwycięski.

Takim był także „Wacio” w życiu prywatnym: bezkompromisowy, uparcie obstający — nieraz do granic śmieszności — przy własnym zdaniu, niezwykle czuły na punkcie honoru, zdecydowany i męski. A zarazem... spowijający się w nimb t a j e m n i c z o ś c i.

Odnosiło się to nie tylko do jego własnego życiorysu, którego liczne białe plamy zostały rozszyfrowane dopiero po śmierci Gralewskiego, gdy sięgnięto do pozostałych po nim dokumentów i osobistych papierów. Ale także do faktu, że od młodości zgłębiał on nauki „tajemne”: interesował się spirytyzmem, okultyzmem, być może także sięgał w rejony czarnej i białej magii... A już na pewno miał niezwykłe właściwości hipnotyczne, których zresztą nigdy na starość nie chciał zeprezentować, tłumacząc się jakimiś nie sprzyjającymi, groźnymi „siłami”, które mu tego wzbraniają, a których cierpliwość już dostatecznie wiele razy naruszył.

Przyznam, że nigdy zbyt mocno nie wierzyłem w „nadprzyrodzone” właściwości „Wacia”, składając wiele opowieści na karb gawędziarskich predyspozycji oraz jego wybujałego — nawet jak na „artystyczną” skalę — egotyzmu. Myślałem tak do chwili, gdy natrafiłem we wspomnieniowej książce Kazimierza Andrzeja Jaworskiego „Koniec seansu” (a K. A. J. nie należał do mitomanów lub ludzi ulegających łatwym, tanim ekscytacjom) na taki oto passus:

„Wśród naszych koleżanek [na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, w początkach lat dwudziestych — przyp. M. D.] znajdowała się sympatyczna, drobna panna N. Studiowała, zdaje się, prawo. [...] Kiedyś po kolacji w stołówce akademickiej Wacław na naszą ogólną prośbę przeprowadził z nią parę eksperymentów. Za pomocą kilkunastu passów i monotonnego, sugestywnego wmawiania w nią, że koleżanka czuje bezwład, że ciało jej staje się drętwe jak drzewo, doprowadził ją do stanu katalepsji. Sztywną jak kłoda studentkę trzej koledzy ułożyli według wskazówek Gralewskiego na dwóch krzesłach w ten sposób, że głowa jej spoczywała na jednym z nich, a nogi — na drugim, pod plecami zaś, grzbietem i lędźwiami uśpiona nie miała żadnego oparcia. Nie tylko bez żadnych trudności utrzymała się nieruchomo w tej pozycji, ale nawet nie zgięła się pod ciężarem jednej z koleżanek, która na życzenie Wacława z dużą obawą i niechęcią usiadła na niej.”

Jeżeli Gralewski w wieku niespełna lat dwudziestu trzech wykazywał t a k i e właściwości hipnotyzerskie, to jaki poziom musiał osiągnąć później, po latach odpowiedniego treningu? Tymczasem jednak na utworzonym niedawno pierwszym lubelskim uniwersytecie wzbudzał podziw nie tylko swymi niezwykłymi „seansami”. Był w ogóle postacią barwną i niezwykłą: donaszał jeszcze na sobie kurtkę żołnierską wypłowiałą na bitewnych polach, działał w bratniackiej studenckiej organizacji, pisał wiersze. A przede wszystkim — jako współtwórca literackiego pisma „Lucifer” — stał się jednym z bohaterów głośnej na cały kraj afery, którą wywołał fakt zamieszczenia w piśmie wiersza Konrada Bielskiego „Dytyramb szatański”, obwołanego przez część opinii publicznej jako wiersz bluźnierczy. Miejscowa cenzura skonfiskowała większość nakładu „Lucifera”, młodych ludzi chciano stawiać przed sądem i dopiero interpelacja klubu SL „Wyzwolenie” na forum sejmowym zażegnała dalszy rozwój wypadków.

A na dodatek o mało nie doszło do pojedynku. Bo porucznik rezerwy Wacław Gralewski, dotknięty tonem napastliwego artykułu napisanego przez redaktora naczelnego endeckiego „Głosu Lubelskiego” Józefa Kanarowskiego, wysłał mu sekundantów. Ostatecznie wziął Gralewski odwet na Kanarowskim dopiero po dobrych kilku latach — już jako znany lubelski dziennikarz — wytykając mu i udowadniając liczne plagiaty. Kanarowski w swoich recenzjach teatralnych z lubelskich przedstawień przepisywał całe fragmenty m.in. z... żydowskiego (!) pisma „Nasz Przegląd”.

„Wacio” nigdy nie napisał słowa na temat swojego dzieciństwa i wczesnych lat szkolnych. A i w rozmowach sięgał do tych czasów niechętnie. Niekiedy wyznawał, że ojciec jego był cukiernikiem. Gdy zaś wpadał w nastrój koloryzatorski sugerował, jakoby ojciec był jakimś wysoko postawionym carskim oficerem, być może nawet spokrewnionym z najwyższą rosyjską arystokracją. Oczywiście nikt w to nie wierzył, z samym Gralewskim na czele.

Naprawdę zaś Wacław Gralewski był synem konduktora kolejowego Bogumiła Gralewskiego oraz Heleny z Błaszczaków urodzonej we wsi Obrocz w powiecie zamojskim. Był jedynym dzieckiem niemłodych już ludzi: gdy przyszedł na świat 24 października 1900 r., jego ojciec miał lat czterdzieści pięć, a matka — czterdzieści jeden. Mieszkali wówczas „na Piaskach” — jak się w owych latach mówiło — to znaczy gdzieś w okolicach dworca kolejowego. Być może w późniejszych czasach konduktor przekwalifikował się na cukiernika, a może w ogóle poniosły go gdzieś na zawsze szlaki kolejowe... Wydaje się bowiem, że o wychowanie i edukację syna dbała zawsze tylko matka.

Gralewski po ukończeniu szkoły podstawowej uczęszczał do gimnazjum, od 1915 r. było to Gimnazjum Realne im. Jana Zamoyskiego w Lublinie. Jesienią 1918 r., będąc uczniem jednej z ostatnich klas, wstąpił ochotniczo do wojska, rozpoczynając służbę w batalionie harcerskim 2 pułku piechoty Legionów. Do cywila wrócił dopiero trzy lata później, z dystynkcjami oficerskimi na naramiennikach, ale bez matury, której ostatecznie nigdy nie zrobił. To niedopatrzenie sprawiło, że musiał następnie, po zaliczeniu czterech semestrów, przerwać studia na Wydziale Prawa i Nauk Społeczno-Ekonomicznych Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jął się wówczas dziennikarstwa.

Właśnie, w 1923 r., zaczęła się w Lublinie ukazywać mutacja warszawskiego „Expressu Porannego”: dziennik zatytułowany „Express Lubelski”. Wydawcą był Franciszek Głowiński, redakcja i drukarnia — gdzie do przysyłanych z Warszawy egzemplarzy gazety dodrukowywano „lubelskie” kolumny — mieściły się przy ulicy Kościuszki 8. W tejże kamienicy, na drugim piętrze, młody adept pióra otrzymał służbowy pokoik-kawalerkę, w którym przemieszkał następnie pięćdziesiąt lat, to znaczy aż do śmierci.

W „Expressie Lubelskim” Gralewski przeszedł wszystkie stopnie kariery, od stażysty do redaktora naczelnego. Mimo że przed wojną powodziło mu się finansowo bardzo dobrze, nigdy nie przeniósł się do obszerniejszego i wygodniejszego mieszkania, żyjąc w swej redakcyjnej służbówce w sposób spartański i zakamieniale... kawalerski. Tutaj odbywały się młodzieńcze dyskusje na temat sztuki, tu rodziły się pomysły kolejnych numerów poetyckiego „Reflektora”, wydawanego wspólnie z Konradem Bielskim, Józefem Czechowiczem, Stanisławem Grędzińskim oraz dzisiejszym znakomitym ekonomistą, prof. Czesławem Bobrowskim. W tym wreszcie pokoju, zawalonym pod sufit książkami, stał w kącie pod oknem rozłożysty tapczan, niemy świadek niezliczonych— podobno — kiedyś potyczek miłosnych pozbawionego wprawdzie czupryny, ale mimo to bardzo męskiego dziennikarza-sportowca. W międzywojennej lubelskiej satyrycznej szopce figurka popularnego „Gacia Wralewskiego” — szalejącego redaktora, złośliwego recenzenta teatralnego, prezesa syndykatu lubelskich dziennikarzy, radnego miejskiego, świetnego organizatora karnawałowych balów — śpiewała:

Jestem taki młody, a już taki łysy,
czemu to przypisać, nie wiem nawet sam.
Może to hurysy, może to kulisy,
może zbytni pociąg
do niektórych dam.
Może to magnetyzm, może to spirytyzm,
może zbytnia orka w noce i we dnie,
może kuchnia jarska,
praca dziennikarska,
o tym się nie pisze, ale każdy wie.

Kiedy poznałem „Wacia” Gralewskiego, liczył już sobie około sześćdziesiątki, prowadził żelazną ręką administrację „Kameny”, a hurysy dawno już nie zaglądały do kawalerki przy ulicy Kościuszki 8. Przy dawnym biesiadnym stole Gralewski pisał teraz w pośpiechu książkę za książką, jakby chciał nadrobić czas, na tapczanie walały się dzieła filozoficzne i tomy klasyków literatury, a poczesne miejsce w pokoju zajmowała biała, elektryczna kuchnia z piekarnikiem, na której gospodarz wyczarowywał różne specjały. Na przykład: bażanta nadziewanego „ptakiem konwencjonalnym”. Czyli kaczkę.

Tylko osoby wybrane — i to z rzadka — mogły dostąpić zaszczytu zaproszenia na ucztę duchowo-kulinarną. „Wacio” otwierał drzwi, uśmiechał się jakby trochę przepraszająco i ogarniając okrągłym ruchem ręki wszechobecny bałagan, stwierdzał: „T r o c h ę tu nieporządku... Cóż... n o r a i n t e l e k t u a l i s t y...”.

* * *

Kto by pomyślał, że ten trochę na starość dziwaczny, trochę śmieszny, a nierzadko — irytujący człowiek był w latach okupacji osobą zajmującą niezwykle ważne i odpowiedzialne stanowisko we władzach konspiracyjnych, że obszar jego wpływów nie ograniczał się do samego tylko Lublina, ale rozciągał się na całe województwo, cały „dystrykt lubelski”?

Od wiosny 1941 r. aż po grudzień roku 1943 porucznik rezerwy Wacław Gralewski, pseudonim „Szymon”, „Victoria”, był szefem Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgu Armii Krajowej. Prowadzona przez niego komórka podlegała bezpośrednio komendantowi Okręgu i szefowi sztabu, zaś instrukcje i materiały otrzymywała z Komendy Głównej.

„W strukturze organizacyjnej Armii Krajowej — piszą Ireneusz Caban i Zygmunt Mańkowski w książce „Związek Walki Zbrojnej i Armia Krajowa w Okręgu Lubelskim 1939—1944” — BIP zajmowało czołowe miejsce wraz z oddziałami: organizacyjnym, operacyjnym i wywiadowczym, a praca jego posiadała przede wszystkim charakter koncepcyjny. [...] Do szczególnie ważnych zadań BIP-u należy zaliczyć służbę informacyjną. Miała ona infiltrować dogłębnie całość życia politycznego, społecznego i gospodarczego okupowanego kraju i jego podziemia. [...] Ponadto do jego zadań należało gromadzenie materiałów historycznych, tak opisowych jak i ikonograficznych do dziejów Armii Krajowej, materiałów dotyczących zbrodni okupanta, położenia ekonomicznego społeczeństwa itp.”

Stał Gralewski na czele „Biura”, któremu podlegało kilka referatów, m.in. ogólno-organizacyjny, propagandowy, kolportażu, „Pomocy żołnierzowi”... Kierowniczką referatu „P. Ż.” była Zofia Grygowa, ps. „Michalina”, do której cukierenki przy ul. Narutowicza wyskakiwaliśmy w ćwierć wieku później z redakcji „Kameny” po ciastka; kierownikiem kolportażu — nasz starszy kolega po piórze, współpracownik „Kameny”, mecenas Stefan Wolski — wówczas podchorąży rezerwy „Tomasz”.

W 1941 r. ukazywało się na Lubelszczyźnie siedem pism AK, w 1942 — dziesięć, w 1943 — siedemnaście. Poza, oczywiście, gazetkami „centralnymi”, jak np. „Biuletyn Informacyjny”. Te pisma także — w mniejszym lub większym zakresie — podlegały Gralewskiemu. On sam był redaktorem naczelnym powielanego tygodnika „Nasze jest Jutro”. Pismo to zaczęło wychodzić od początku 1943 r. w liczbie 300—400 egzemplarzy. Oprócz informacji politycznych i komunikatów wojennych tygodnik zamieszczał również artykuły okolicznościowe i komentarze, a kierownictwo redakcji myślało nawet o stworzeniu „dodatku ideowo-moralnego” oraz „dodatku gospodarczego”. Oprócz Gralewskiego w skład redakcji „Nasze jest Jutro” wchodzili: Zygmunt Szubartowski, ps. „Jawor”, zarazem zastępca szefa BIP-u, oraz Ludomir Szerszenowicz, ps. „Suchy”.

Pracownik Departamentu Informacji i Prasy Delegata Rządu ukrywający się pod pseudonimem „Teodor” pisał w sprawozdaniu dla swoich władz o redagowanym przez Wacława Gralewskiego periodyku: „jest to tygodnik, 12—16 stron dużych, wydawany porządnie graficznie i bardzo żywo i ciekawie redagowany. Jest to jeden z lepszych tygodników prowincjonalnych, jakie udało mi się przeczytać.”

„Nasze jest Jutro” współpracowało ściśle z redakcją organu Biura Informacji i Propagandy Komendy Okręgu, ukazującego się c o d z i e n n i e (!) „Okręgowego Dziennika Radiowego” drukującego głównie nasłuchy radiowe. Redakcja i powielarnia „Dziennika” zakonspirowane były w firmie „Grom”, mieszczącej się przy ulicy Rusałka 6 w Lublinie. Na czele zespołu stał najbliższy współpracownik Wacława Gralewskiego — Zygmunt Szubartowski...

* * *

Za zasługi wojenne Wacław Gralewski został odznaczony Srebrnym Krzyżem „Virtuti Militari” oraz awansowany na kapitana Armii Krajowej. W 1944 r. powołano go do służby w I Armii WP.

W wojsku nie dekował się po kuchniach lub pułkowych biurkach: pełnił odpowiedzialną i niebezpieczną funkcję dowódcy dywizyjnego zwiadu. Przyniósł z wojny Srebrny Medal „Zasłużonym Na Polu Chwały”.

Frontowe przygody opisał po latach w książce „Gorejące ślady”. Mówił w nich o niezwykłych, a często niesamowitych historiach, jakie udało mu się przeżyć, i surrealistyczny nastrój tych opowieści stanowi — moim zdaniem — o szczególnym walorze owej nie docenionej przez krytykę książki. I może więcej mówi prawdy o życiu i zachowaniu się ludzi na froncie niż niejedna wyczerpująca w swym realizmie relacja.

Po powrocie z wojny Gralewski rozstał się z dziennikarstwem. Pracował początkowo jako nauczyciel, potem przez pewien czas był kierownikiem Wojewódzkiego Biura Odbudowy Warszawy z siedzibą w Lublinie, pracował też w administracji ARTOS-u, odpowiednika dzisiejszej „Estrady”, wreszcie objął funkcję kierownika administracyjnego „Kameny”, do której reaktywowania w 1952 r. poważnie się przyczynił. Na tym stanowisku trzymał nas w wojskowych ryzach, a młodszych pracowników wychowywał na sposób spartański. Dopóki rządził „Kameną” (nawet Maria Bechczyc-Rudnicka, redaktor naczelny, w gruncie rzeczy się go bała i dawała się przebić w dyskusji), nie zaznałem, wyjeżdżając na redakcyjną delegację, co to miejsce w sleepingu, lub jednoosobowy pokój w hotelu. Pod koniec każdego roku otrzymywaliśmy trzymiesięczne wypowiedzenie pracy, aby po upływie tego okresu, od Nowego Roku być przyjętymi z powrotem. „Wacio” był przezorny: a nuż „Kamena” nie dostanie kolejnej rocznej dotacji z Wydziału Kultury WRN? Wszystkie te problemy skończyły się oczywiście, gdy „Kamena” została przejęta przez RSW „Prasa”.

Nigdy jednak nie uczułem cienia żalu do Gralewskiego o to, że niejednokrotnie utrudniał nam życie. Nawet o to, że nie pozwalał dokończyć butelki wina pozostałego po zebraniu redakcyjnym, chomikując je do następnego posiedzenia.

Bo przy wszystkich swoich śmiesznostkach był człowiekiem czynu, prawdziwym patriotą, odważnym żołnierzem, a jego kręgosłup składał się z twardych kości, nie zaś z czegoś przypominającego kawałek miękkiej, serdelowej kiełbasy.

Praxyteles z Urzędowa

Stanisław Surdacki

WIEK XVI i przełom wieku XVII to niezwykle bujny rozkwit sztuki rzeźbiarskiej i architektonicznej w Polsce, w oparciu o doskonałych mistrzów z Włoch w okresie Odrodzenia, jak Franciszek Florentczyk, Jan Padovano, Borecci, Cini, Santi Gucci, Cavanesi, Morando i inni. Wśród powodzi mistrzów i serwitorów królewskich, magnackich i kościelnych pochodzenia włoskiego zjawiają się też i talenty rodzime. Spośród nich wybija się zdecydowanie na czoło Jan Michałowicz z Urzędowa (1530—1583).

Jako polski mistrz rzeźby i architektury zasłynął nie tylko w XVI wieku, ale w ogóle w okresie Pierwszej Rzeczypospolitej Polskiej wyróżnił się najwybitniej swym talentem, samodzielnością i bogactwem inwencji twórczej. Już w XVI wieku ochrzczony został przez rodaków „Praxytelesem Polskim", co jest utrwalone w literaturze XVII wieku przez Szymona Starowolskiego.

Urzędów, leżąc na trakcie zwanym „via regia" (Wilno — Lublin — Kraków), powołany został do życia w XVI wieku jako punkt usługowo-gospodarczy na szlaku królewskim i stał się następnie jednym z ośrodków dających cenne intelektualne i kulturalne siły do organizmu Polski. Związany był żywotnie z Krakowem poprzez szkoły, handel, funkcje komunikacyjne i transportowe. W XVI wieku Urzędów był nie tyle wielkim, ile ważnym miastem powiatowym, skąd do Akademii Krakowskiej ciągnęła licznie młodzież mieszczańska. Kilku z jej przedstawicieli pełniło w tym czasie funkcje profesorskie.

Jan Michałowicz, odkrywszy w sobie (około 1550 roku) zainteresowania i uzdolnienia plastyczne, znalazł oparcie w licznych wówczas w Krakowie warsztatach budowlanych i rzeźbiarskich. Szybko wykazał duże uzdolnienia, dzięki czemu zdobywał uznanie i poparcie ze strony kierowników pracowni i wpływowych czynników kościelnych. W okresie między 1555 i 1563 rokiem powierzono mu przygotowanie nagrobnych pomników dla tak wysokich dostojników, jak arcybiskup poznański Benedykt Izdbieński w Poznaniu i Urszula z Maciejowskich Leżańska, spokrewniona blisko z krakowskim biskupem Samuelem Maciejowskim. Pomnik jej został umieszczony w Brzezinach pod Łodzią.

Michałowicz wówczas jeszcze nie posiadał obywatelstwa miasta Krakowa ani uprawnień cechowych. Uprawnienia uzyskał dopiero w 1570 roku jako „przyjęcie na magisterię", czyli do grona mistrzów cechowych. W 1571 roku otrzymuje prawo miejskie w Krakowie. Tegoż roku nabywa dom przy ulicy św. Marka i tam zapewne organizuje swą pracownię.

Od chwili przybycia do Krakowa Michałowicz zetknął się z wielkimi pracami mistrzów włoskich na wawelskim Zamku i w Jagiellońskiej „Kaplicy Złotej" w Katedrze.

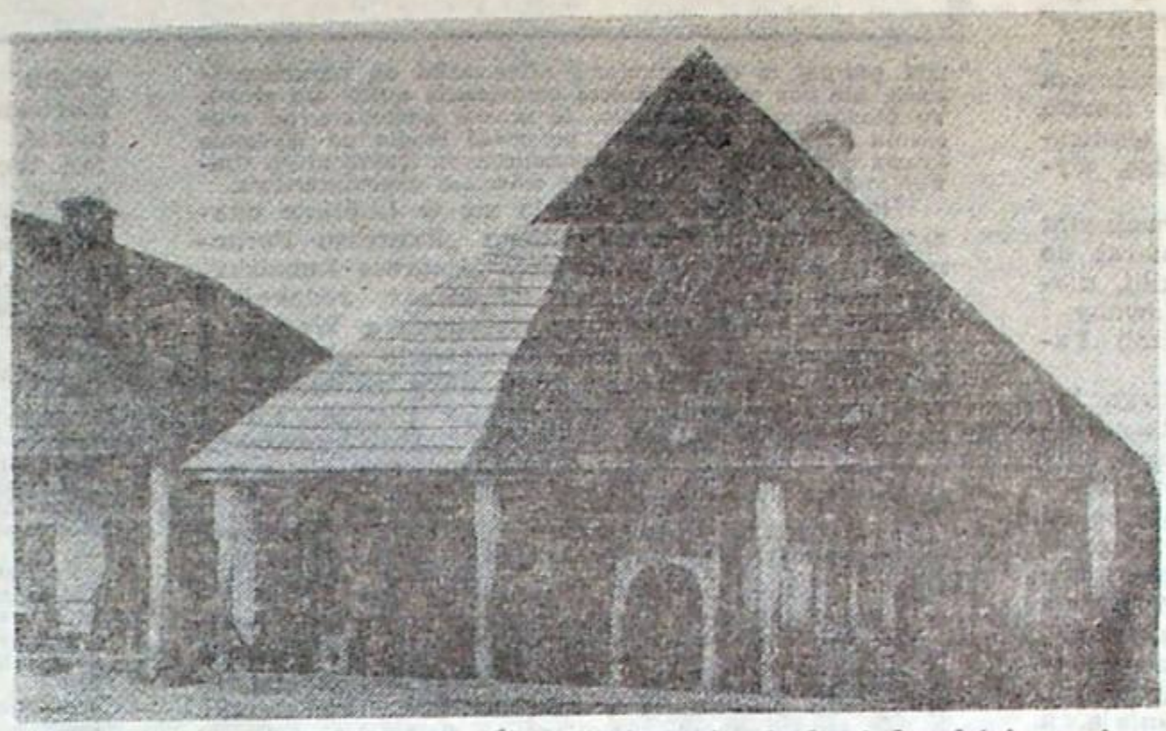

Dom z zabytkowymi podcieniami i starymi arkadami dwudziałowymi w Urzędowie z I wojny światowej. Rok 1912.

Zapewne we współpracy z mistrzami sprowadzonymi przez królową Bonę z Włoch poznał tajemnicę i zasady renesansowej sztuki budowlanej. W krótkim czasie mógł już dorównać mistrzom włoskim i przystąpić do rozszerzenia własnego warsztatu pracy twórczej.

Już w 1573 roku przygotował fachowo i wyzwolił swojego brata Marka Michałowicza z Urzędowa, a z czasem i syna Aleksandra, ponadto zwerbował i wyszkolił Andrzeja Łyczko z Urzędowa, Macieja Kusietka, Pawła Zapisza, Mikołaja Goczała z Pińczowa, Adama Naporka z Gołaczowa, Mikołaja Bratka z Chełma (w Krakowskiem) i znakomitego Jana Białego ze Lwowa. W oparciu o powstały zespół mógł rozwinąć na większą skalę pracownię rzeźbiarską w Krakowie.

Michałowicz związał się następnie na stałe z Krakowem, jak również i szereg jego potomków w wieku XVI i XVII tworzyło w Akademii Krakowskiej.

Gdy stał się głośnym twórcą dzieł w Krakowie, z częścią swych współpracowników w roku 1580 zaproszony został przez prymasa Jakuba Uchańskiego do Łowicza, aby tam w Kolegiacie wznieść jeszcze kaplicę-mauzoleum dla leciwego już prymasa. Tam około 1583 roku Michałowicz zmarł mając 55 lat i pochowany został w tejże kaplicy prymasa Jakuba Uchańskiego. Prace wykończeniowe zapewne uzupełnił syn, Aleksander Michałowicz, według planów sporządzonych przez ojca.

Jan Michałowicz zostawił po sobie pięć poważnych sygnowanych dzieł nagrobnych. Są to rzeźby postaci w bogatym opracowaniu architektonicznym, a mianowicie: Urszuli z Maciejowskich Leżańskiej w Brzezinach pod Łodzią, arcybiskupa Benedykta Izdbieńskiego w Poznaniu, biskupa Andrzeja Zebrzydowskiego i biskupa Filipa Padniewskiego w Krakowie w Katedrze Wawelskiej oraz prymasa Polski Jakuba Uchańskiego w Łowiczu.

Niektóre dzieła sztuki Michałowicza zostały uszkodzone lub zniszczone, między innymi z powodu pożarów. Do takich należy zaliczyć np. rzeźbę w alabastrze prymasa Uchańskiego. Niektóre z nich znalazły się w Arkadii odległej o 5 km od Łowicza i tam zdobią zabytkowy park założony przez Radziwiłłów w 1778 r.

Autorstwo J. Michałowicza ustalono w nadprożu portalu kamienicy kanonicznej w Krakowie i tablicy nagrobkowej Gabriela Szadka w kościele Dominikańskim w Krakowie. Z nazwiskiem Michałowicza badacze wiązali znaczną część dzieł sztuki renesansowej, rozsianych na terenie Małopolski wśród utworów niewiadomego pochodzenia.

Po „Strzałach w rezerwacie"

WYROK

I Wydział Cywilny Sądu Wojewódzkiego w Lublinie wyrokiem z 11 kwietnia 1983 roku zobowiązał mnie do odwołania w części zarzutów wobec Andrzeja Kaweckiego, zawartych w reportażu „Strzały w rezerwacie" („KAMENA" nr 7 z 29 marca 1981 r.), a *dotyczących w szczególności polowania niezgodnego z zasadami łowiectwa, osiągania nienależnych i nadmiernych korzyści, nadużywania stanowiska do bezprawnych działań sprzecznych z wykonywanym zawodem* — co niniejszym czynię.

Postscriptum

TYLE wyrok zwieńczający proces, który trwał dwa lata. Wyrok drugi. Bo pierwszy, sformułowany przez ten sam I Wydział Cywilny tegoż samego Sądu Wojewódzkiego w Lublinie, wyrok w tej samej sprawie z dnia 2 marca 1982 roku — w całości uwalniał mnie od winy. W uzasadnieniu wyroku uniewinniającego SW przytaczał wówczas m.in.: *pozwany* (czyli ja — S. H.) *pisząc artykuł opierał się na danych z dokumentu wiarygodnego i nie miał na celu naruszenia dóbr osobistych powoda (Kaweckiego). Zgodnie z orzecznictwem Sądu Najwyższego z dnia 19. 09.1968 r. II Cr. 291/68 OSNCP 1969 poz. 200 krytyka nawet ostra jest działaniem społecznie pożytecznym i pożądanym, jeżeli podjęta została w interesie społecznym, jeżeli jej celem nie jest dokuczenie innej osobie, oraz jeżeli ma cechy rzetelności i rzeczowości. Ponieważ pozwany nie miał na celu dokuczenia powodowi a jedynie obronę interesu społecznego, zaś informacje oparte zostały na dokumencie wiarygodnym, Sąd uznał, iż w działaniu pozwanego brak jest cech bezprawności i dlatego powództwo oddalił.*

Zupełnie identycznie zresztą jak Sąd Wojewódzki w Katowicach, który również uniewinnił redaktora (T. Biedzkiego) pozwanego przez J. Lesia, byłego przewodniczącego byłego ZG ZZ Górników. Dziennikarz, pisząc swój krytyczny artykuł, oparł się o protokół z kontroli. SW w Katowicach w uzasadnieniu podkreślił, że *dziennikarz miał prawo powołać się na wyniki i ustalenia kompetentnego organu kontrolnego.* Katowicki SW zaakcentował, że z wyników takich kontroli korzystają najwyższe władze z Sejmem włącznie: *Skoro więc sprawozdania z wyników kontroli są miarodajne dla naczelnych i centralnych organów władzy i administracji państwowej, to tym bardziej dziennikarz może i powinien mieć do nich zaufanie bez potrzeby dodatkowego sprawdzania uzyskanych danych* (patrz „POLITYKA" nr 13 z 15.05.1982 — J. Loch „Chciał zwrócić").

W moim przypadku było podobnie, choć nie całkiem. Też opierałem się na protokołach i materiałach kontrolnych. Ale nie tylko. Choć wyniki kontroli z końca 1980 roku były jednoznaczne. Mimo to interesowałem się prowadzonym (przez cały I kwartał 1981) przeciwko A. Kaweckiemu dochodzeniem prokuratorskim (umorzonym potem, po wydrukowaniu tekstu, częściowo ze względu na małą szkodliwość społeczną czynu). Rozmawiałem z ówczesnym przewodniczącym Woj. Kom Kontroli Partyjnej KW PZPR w Zamościu, nadto dobrze zorientowanym w sprawach myśliwym. Rozmawiałem wielokrotnie z panem Pałkowskim, wytrawnym selekcjonerem i wieloletnim inspektorem ZO DPiKF. Rozmawiałem z trzema milicjantami i 4 strażnikami przyrody w Roztoczańskim Parku Narodowym, w którym pan Kawecki był i jest zastępcą dyrektora. Prowadziłem rozmowy z miejscowymi myśliwymi i bardzo licznie z 23 osobami, mieszkańcami Zwierzyńca, Tereszpola, Turzyńca i Rudki.

W oparciu o ten materiał powstał reportaż „Strzały w rezerwacie". Potem pozwano mnie przed sąd. Następstwem był wyrok uniewinniający mnie w całości (z 2 marca 1982). A jeszcze później, po odwołaniu się powoda i ponownym procesie — wyrok z dnia 11 kwietnia 1983 nakazujący mi odwołanie części zarzutów.

I dobrze mi tak. Bowiem, gdy teraz patrzę wstecz na dwuletnią historię procesu prowadzonego przez dwu adwokatów (do końca broniłem się sam, bez niczyjej fachowej pomocy), rozumiem, że wygrać tej sprawy nie mogłem, nie byłem w stanie. Po pierwsze: byłem zupełnie sam, i to z zewnątrz, spoza szczelnych myśliwskich kręgów; skrytykowałem zaś — i to ostro — zwarty klan myśliwych. Po drugie: w momencie zbierania materiałów w 1980 roku i parenaście miesięcy później ludzie spoza wpływowych kół myśliwskich mówili wszystko i byli gotowi świadczyć — potem wahali się, a wreszcie poczęli prawić, umykając wzrokiem w bok, że mają żony i dzieci, chcieliby dalej pracować, niech pan redaktor zrozumie. Rozumiem.

Zostałem sam. Z faktami. I strzępami po wielokroć prostowanych, odwoływanych, korygowanych potem, po druku, dokumentów.

Pan Kawecki miał na przykład zezwolenie nr 164 na odstrzał trzech dzików. Pewnego dnia ubił jedną sztukę, zostało mu zatem prawo do strzelenia jeszcze dwu sztuk. Ale zdarzyło się, że niebawem trafił w parku narodowym całą watahę dzików i położył pięć sztuk ze swego czeskiego 5-strzałowego sztucera z lunetą. Czyli zabił o trzy więcej niż opiewało zezwolenie. Ale twierdzi, że pięć dzików ubił dwoma strzałami tylko. Jednym strzałem — dwa, drugim strzałem — trzy dziki. A może odwrotnie. Nieistotne. Trafił i już. Trafił, a potem dobił. Te śmiertelnie ranne trzy sztuki nadprogramowe, bo dwie programowe padły od razu nieżywe. Dwa strzały i pięć trupów dziczych. Czy to w ogóle możliwe? Fachowcy od balistyki twierdzą, że nie (jeśli wykluczyć, że strzela się bronią wojskową specjalnymi pociskami typu torpedo, a i to do specjalnie ustawionych w specjalnej odległości celów). Tak mówią spece od balistyki, którzy w procesie nie byli potrzebni. Zaś myśliwi powołani przez adwokatów Kaweckiego przed Sąd jako eksperci

Wymienione dzieła sztuki dają dostateczną podstawę do oceny i uznania Michałowicza za czołowego i jedynego w swoim rodzaju współtwórcę Odrodzenia w Polsce. Wielki badacz sztuki Julian Pagaczewski z Krakowa, oceniając twórczość J. Michałowicza i będąc pod niezwykłym wrażeniem talentu artystycznego, sformułował krótko, że „na naszym firmamencie artystycznym lśnią w drugiej połowie XVI wieku dwie gwiazdy pierwszej wielkości, Jana Kochanowskiego — poety i Jana Michałowicza — rzeźbiarza."

Michałowicz szedł samodzielną drogą rozwojową, przesycał dzieła własnymi pomysłami i motywami, własną polską sztuką. W tym zakresie zdobył szczególnie mocną pozycję w Polsce. Kompozycje architektoniczno-rzeźbiarskie stopniowo i kolejno wzbogacał nowymi kompozycjami i każde jego dzieło stanowiło poważny etap w twórczości artysty.

Do realizacji dzieł używał różnego materiału, poczynając od piaskowca poprzez marmur o różnym zabarwieniu do jasnego alabastru. Umiejętnie skomponowywał w architektoniczną bryłę przestrzenno-plastyczne elementy. W twórczości jego doszukiwać się można różnych wpływów, ale to nie jest niewolnicze naśladownictwo.

Niektórzy z historyków sztuki zastanawiali się, skąd Michałowicz zaczerpnął ciesielski motyw dwulucza, zwanego inaczej dwudziałem. Widocznie w staropolskiej ciesiołce dwulucza lub nawet trójłucza nie były rzadkim zjawiskiem, skoro w Urzędowie, miejscu pochodzenia J. Michałowicza, stosowanie tego motywu w podcieniach drewnianych utrzymało się wśród mieszczan aż do I wojny światowej. W 1915 roku jedna z armii rosyjskich wypaliła do cna Urzędów z wieloma zabytkowymi ciekawymi obiektami, jakimi były drewniane domy z podcieniami, ze starymi arkadami dwudziałowymi. Np. tego typu dom drewniany Kornela Wójcickiego znajdował się przy ul. Kościuszki. Zdjęcie jego przed I wojną w 1912 roku było prezentowane na wystawie Muzeum Narodowego w Krakowie.

Badania nad spuścizną artystyczną po wielkim Janie Michałowiczu trwają w czasach współczesnych. Szczególne zasługi położył prof. Julian Pagaczewski w Krakowie, który, od 1909 roku kontynuując badania w tym zakresie, wydał pracę o Janie Michałowiczu w 1937 r. w Roczniku Krakowskim nr 28.

W „Dziejach Sztuki Polskiej" — J. Starzyński i M. Walicki obszerniej omawiają zasługi i twórczość J. Michałowicza. Znani historycy sztuki jak W. Kierzkowski, H. i S. Kozakiewiczowie, Z. Kępiński, G. Chmurzyński, T. Dobrowolski, Lech Kalinowski, Ewa Kozłowska-Tomczyk i inni swymi rozważeniami i wypowiedziami aktualizują i podnoszą nieprzemijające wartości sztuki Jana Michałowicza z Urzędowa.

Kisiel w krainie kangurów

Andrzej Burda

ODNOSZĘ wrażenie, że korespondencje i reportaże z szerokiego świata zubożały w naszej prasie od kilku lat; w każdym razie co tęższi i bieglejsi w piórze rzadziej sięgają do tematyki z niektórych odległych regionów globu, pośledniejsi zaś — koncentrują swoje zainteresowania na wiadomościach z Zachodu, dając tym wyraz niejakiemu obciążeniu historycznemu (ex occidente lux, praemunitie christianitatis etc). Rzadko na łamach tygodników znaleźć można szersze i aktualne reportaże z takich interesujących krajów, jak: kraj kwitnącej wiśni, państwo „środka", kraina kangurów. A przecież nie jesteśmy egocentrykami i nawet posiadamy jakieś tam tradycje (co prawda nieco jednostronne: por. np. Krzysztof Radziwiłł „Sierotka": *Peregrynacja albo pielgrzymowanie do Ziemi świętej;* Jerzy Ossoliński: *Diariusz poselstwa do Rzymu)* podróżowania po odległych ziemiach i ich poznawania. Nie bez kozery ograniczam się do przykładów z okresu Pierwszej Rzeczypospolitej, gdyż późniejsze czasy na tle tych odleglejszych nie błyszczą na firmamencie osobliwych peregrynacji.

A jednak za naszych dni zdarzają się błyszczące wyjątki od reguły. Oto w numerze „Tygodnika Powszechnego" z 15 maja br. z niekłamanym zainteresowaniem przeczytałem artykuł Stefana Kisielewskiego pt. „Wspominając Australię". Toż to egzotyka na pełnym gazie, zwłaszcza, gdy prezentuje ją autor skłonny zarówno do złośliwości, jak i do rzewnej zadumy.

Podobno podróże kształcą. Kisiel wiele podróżuje, ale chyba niewielką z tych podróży wynosi naukę, skoro z chrześcijańską pokorą wyznaje, iż „nagle uświadomił sobie, że to już kilkanaście miesięcy minęło, jak opuścił Australię, gdzie przebywał sześć tygodni", i nie spełnił obowiązku złożenia sprawozdania „wiernym czytelnikom tygodnika". Może i na zdrowie mu wyszła taka dystrakcja, albowiem podobno tylko ludzie szczęśliwi lub dotknięci amnezją czasu nie liczą, ale dlaczego ogranicza krąg godnych informacji tylko do wierzących, skoro ewangeliczna przypowieść o zgubionej owcy wyraźnie głosi: „Powiadam wam, że taka będzie w niebie radość nad jednym grzesznikiem pokutę czyniącym, więcej niż nad dziewięćdziesięciu dziewięciu sprawiedliwymi, którzy nie potrzebują pokuty" (św. Łukasz, 15—7). Czyżby pielgrzym zwątpił, iż dar wiary nie zabezpiecza przed zejściem na manowce? Przecież opowieść nakazuje z powodu odnalezienia zgubionej owcy „zwołać przyjaciół i sąsiadów, mówiąc im: »Radujcie się ze mną«". Dzieje apostolskie nadmieniają także o tym, iż apostołowie: Filip, Piotr i Jan oraz jeszcze inni zebrali bogate żniwo, głosząc dobrą nowinę (prozaiczny pisarz mówi o „radosnej twórczości") także dla Samarytanów, Etiopczyków i innych jeszcze pogan.

Australia na naszym pielgrzymie „sprawiła niezatarte osobliwe wrażenie — tak Australia polska, jak i niepolska". Wiele podróżował i degustował, ale zdążył też rzewnie roztkliwić się na widok nadwiślańskiej (?) wierzby wśród eukaliptusów (skoro wśród eukaliptusów, to chyba nie nadwiślańska); wygłaszał odczyty w domach i klubach, w małych i wielkich salkach parafialnych, a to i w Australii, i na Tasmanii. Mało znajdujemy wzmianek na temat treści tych odczytów, ale to niepotrzebne, wszak dobrze znamy całą radosną twórczość szeroko znanego pisarza. Z tekstu nie dowiadujemy się, czy miał miejsce odczyt na łodzi; znamienne natomiast, że „tytuły były różne, ale temat jeden: historia Polski Ludowej". Informacja taka wystarcza każdemu jako tako zorientowanemu; nie mam wątpliwości, że historię Polski Ludowej zna dobrze, na pewno nie musi się przygotowywać, może więc mówić godzinami — z pasją i fantazją. Frekwencja na tych odczytach pod eukaliptusem dopisała dopiero w dniu 13 grudnia 1981 roku: przywaliło na odczyt tysiąc chłopa i trzeba było dostawiać stołki przez całą godzinę; okazuje się zatem, że grudniowa trzynastka wcale nie była feralna i to zarówno na półkuli północnej, jak i południowej. Prelegent wywiązał się ze swego zadania mocno spocony (doskonale rozumiemy i współczujemy).

Informacje o żywocie codziennym Polaków na Wielkiej Wyspie — raczej szczupłe i fragmentaryczne: powodzi im się na ogół dobrze, jako przykład podaje losy swego przyjaciela, który całe lata harował, ale jest teraz dostatnim emerytem. Coś podobnego zdarza się także nad Wisłą. Kisiel obiecuje, że w Australii jutro będzie pod tym względem jeszcze lepiej. Informacje na ten temat okrasza opisem rozczulającej sceny: „...w centrum Adelajdy przypadkiem (skoro w A., to na pewno przypadkiem) spotkałem czytelnika z Krakowa z numerem *Tygodnika Powszechnego*. Szatniarz z wielkiego muzeum w tymże mieście rzuca mi się na szyję, bo to Węgier z 1958 roku, właśnie czyta mi przez ramię *Tygodnik*". A więc spotkało się dwóch bratanków, zatem do kompletu zabrakło chyba tylko cudami słynącego... cadyka z Góry Kalwarii. A to ci dopiero: snadź do szczęścia doskonałego niewiele brakowało, skoro pielgrzym w Melbourne widział nadmorską ulicę, zamieszkaną przez Żydów. Coś tam było jeszcze o naczelnym rabinie, ale nie zrozumiałem, bo dalej była już mowa o jakiejś ustawie z 31 sierpnia 1981 r.; więc widocznie coś się tam Kisielowi popląłało.

Ciekawych informacji było jeszcze więcej, np.: o legendarnym kapitanie polskim, który kominem statku (?) zawadził o most; o tym, że młodsi Polacy w Australii „mimo kościoła" australizują się, a jeżeli nawet wyjeżdżają do Polski, to nie znajdują tam tego, o czym im starzy opowiadają. No cóż, Mistrzu, taki to już dur ogarnął całe młode pokolenie Polaków. I coś tam jeszcze było o innych sprawach. Jednak końcowa informacja Reportera zdumiała mnie nad zwykłą miarę: młody katolicki arcybiskup poinformował go, że kocha Polskę, zaś papieża Jana Pawła II poznał na Tasmanii. Hic Rhodos, hic salta!

---

stwierdzili, że owszem, możliwe jest jak najbardziej powalenie dwoma strzałami pięciu dzików. Zapytałem, czy ten pan ekspert zna jakiś konkretny, choćby jeden jedyny przykład: gdzie, kiedy, kto jednym strzałem położył lub tylko poważnie zranił trzy dziki? No, konkretnie to świadek-ekspert nie może podać, ale on słyszał o takich przypadkach (w rewanżu opowiedziałem anegdotę, że też słyszałem od kolegi wędkarza, iż w marcu 1953 roku, łowiąc na rosówkę, wyciągnął z Bystrzycy okazowego... wieloryba).

A więc ekspert słyszał i już. Nic to, że inni słyszeli zgoła co innego: bywa, iż dzik trafiony kulą w komorę (kulą, a nie odłamkami) „idzie" jeszcze kilka kilometrów w las. Trafiają się dziki z 5 kulami w ciele, zebranymi w ciągu kilku lat... Cóż, pan Kawecki jest szczęściarzem w czepku urodzonym i co pociągnie za cyngiel, to mu padają a to dwa, a to trzy dziki naraz. Ponoć bywa. Myśliwi słyszeli...

Zresztą, natychmiast dodał nobliwy ów świadek przed Sądem półtora roku temu, że sprawa pozwoleń na odstrzały i tak nie ma większego znaczenia w przypadku dzików, bo to szkodniki... Świadek ów jest myśliwym z 30-letnim stażem i nieposzlakowanej uczciwości człowiekiem. Nadto prawnikiem z zawodu...

Tymczasem w ustawie łowieckiej (rozdz. IX, art. 52, ust. 4) stoi jak byk, że: *Kto pozyskuje zwierzynę inną lub w większej ilości, niż to przewiduje zezwolenie, podlega karze grzywny do 5000 zł* (dodajmy nawiasem: najwyższej, jaką wówczas, w 1958 roku, zakreślił prawodawca). Podobnie inną i w nieco innej ilości zwierzynę pozyskał p. Kawecki nie tylko w wypadku owych nieszczęsnych dzików, lecz również saren. Miał zezwolenie nr 258 na dwie sarny i dwa koźlaki. Pozyskał tymczasem cztery sarny i jedno koźlę. Czyżby wytrawny strzelec i selekcjoner miał trudności w odróżnieniu koźlaka od dorosłej sarny? Nie wierzę, uważam pana K. za świetnego myśliwego.

Ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Pan wicedyrektor parku narodowego działał bowiem, jak się okazało, ze względów humanitarnych i tylko dobijał przypadkowo śmiertelnie zranione dziki i sarny. Ponadto zaś pan wicedyrektor, strzelając w parku narodowym, nie podlega przepisom o polowaniach, z tej prostej przyczyny, że w parkach narodowych polować nie wolno i nikt nie poluje. Jasne, prawda? Jak słońce. W parkach narodowych prowadzi się tylko odstrzały w ramach planowej gospodarki. W ramach tejże, w okresie objętym kontrolą i przeze mnie opisanym, pan dyr. Kawecki osobiście ustrzelił jedną trzecią zwierząt, które padły w RPN pod muszkami rycerzy Hubertusa (konkretnie ustrzelono 180 sztuk tzw. grubego zwierza, z czego osobiście pan Kawecki 62 sztuki).

Oficjalne, obowiązujące do dziś prawo jest dwoiste: z jednej strony absolutnie i kategorycznie zabrania jakichkolwiek polowań w parku narodowym (rozporządzenie nr 120 Rady Ministrów z 10 maja 1974), a z drugiej — na mocy resortowych zarządzeń — ustala plany odstrzałów w parku dla... myśliwych. Czyli wolno czynić to, co jest kategorycznie zabronione. I wolno brać myśliwym premie za u p o l o w a n ą w parku zwierzynę, choć nie wolno p o l o w a ć. Kompletna prawnicza kwadratura koła, która trwa od lat i nikomu nie wadzi. Raczej przeciwnie...

Co do osiągania przez opisanego „nadmiernych korzyści", ani słowem w reportażu nie oceniałem, że są one „nadmierne", podałem tylko łączną sumę korzyści ustalonych wówczas przez kontrolujących (napisałem: „około 70 tysięcy", co w latach 70-tych stanowiło równowartość kilkuset dolarów, lub fabrycznie nowego trabanta, a co dodaję dziś, aby nie było nieporozumień). No cóż, przyczepiono mi brodę, której nie posiadam...

Rys. Józef Tarłowski

Natomiast o „nadużywaniu stanowiska do bezprawnych działań" można mówić tylko w kontekście korzystania z samochodów służbowych do transportu upolowanej (pardon: pozyskanej) w parku zwierzyny, o czym pisałem. Owszem, takie fakty miały miejsce. Stwierdziła je i kontrola, i prokurator, i ludzie. Ale po pierwsze — dochodzenie w tej sprawie prokurator umorzył ze względu na małą szkodliwość społeczną, a po drugie — należność za transport p. Kawecki potem wpłacił do kasy RPN. Po trzecie wreszcie, okazuje się, w wożeniu służbowymi samochodami prywatnie przez p. Kaweckiego upolowanych zwierząt, za które brał premie — nie było niczego niewłaściwego, lecz przeciwnie — była to praktyka zlecana i akceptowana, o czym świadczy pośrednio fakt, że RPN płacił ryczałty za używanie prywatnych środków transportu...

Zatem są szczęśliwcy, którym za przyjemność zabijania zwierząt jeszcze płacą. I wcale nie tak symbolicznie. Ale nie ma w tym niczego zdrożnego, wszystko odbywa się w majestacie przepisów.

I to by było na tyle. Powtarzam, sprawę musiałem przegrać i ją przegrałem. Zresztą, jakbym to przeczuł już u schyłku 1980 roku, pisząc w zaskarżonym reportażu, że na tle innych, znacznie możniejszych „myśliwych" — *grzeszki naszego zastępcy dyrektora parku narodowego wydają się niewinnymi igraszkami.* Faktycznie. Jeden z takich „myśliwych", który z moim adwersarzem nie miał nic wspólnego zresztą, skłusował około połowy setki grubych zwierząt, nie licząc setek „pozyskanych" mniej więcej legalnie — i chodzi na wolności, z zawieszonym symbolicznym raczej wyrokiem. Inni, też z panem K. nie mający nic wspólnego, strzelali z aut i helikopterów — i też im włos z głowy nie spadł.

Zresztą słusznie. W końcu co znaczy taki zwierz, choćby najgrubszy, wobec człowieka? Nic nie znaczy. A człowiek, u! — człowiek to brzmi dumnie. Dlatego panu dyrektorowi Kaweckiemu oddaję wszystko, co mu się należy, a co pomieszczone zostało w cytowanej na wstępie sentencji wyroku z 11 kwietnia 1983 roku, choć data nie ma tu akurat większego znaczenia. Wyrok mógł przecież zapaść równie dobrze, powiedzmy, dziesięć dni wcześniej lub dziesięć później. Grunt, że — jest sprawiedliwy i słuszny, co stwierdzam własnoręcznym podpisem.

Stanisław Harasimiuk

ODWIEDZINY

Zenon Dunajczyk

POCHODZĘ ze wsi, ale założyłem sobie jeden cel: miasto. Kiedy więc latem ciecie z okolicznych miast ciągnęli w zmotoryzowanej procesji nad malownicze brzegi mojej rodzinnej rzeki i obsiadali je jak stonka ziemniaczana, krążyłem z braćmi wśród nich i serce mi się ściskało, a oczy latały nieprzytomnie na wszystkie strony, na te winiaki, nonairony, tranzystory, cycki poopinane skąpo w elastiki i półdupki we wzorzystych helankach. Łaziłem z nimi wśród tych migotów, śmiechów, tej całej rozchełstanej elegancji i myślałem o swoim po swojemu, zasklepiałem się w uporze i raz powziętym postanowieniu. Ten inny świat zostawał we mnie jak w aparacie fotograficznym, a bracia, oczywiście, nie zapominali swoimi uwagami dodawać mu ostrych kolorów.

— Patrz — powtarzałem sobie — to wszystko chłopie, jest do wzięcia. Trzeba mieć tylko trochę odwagi i zaufania do siebie. Wydostać się stąd i nie odwracać głowy. Odejść wreszcie od rozgrzebanego przez drób i ludzi gnoju, od odoru utytłanego w odchodach bydła, od gołębi, kur, świń, parzenia, dojenia, macania, międlenia, iskania. Tutaj prędzej czy później zagłuszy cię chwast, rozum perzem zarośnie, siła w zagon spłynie i do buraka cukrowego przyschnie. Ci, co mają odrobinę energii i chcą się przebić, muszą do miasta, jak do przybranej mamki łeb kudłaty przytulić, wygrzać się w jego cieple, obmyć w wodociągowych zdrojach, poświęceniem na uznanie zarobić.

Chciałem uczynić dobry początek, bo tak się jakoś złożyło, że nikt z naszej wsi kariery w świecie nie zrobił, ani szkół wielkich nie pokończył. Wierzyłem, że może właśnie mnie się to uda i chociaż niezręcznie mówić o jakichś konkretnych przewidywaniach, domysłach czy planach, to one zawsze niby nie będąc — były, niby nie istniejąc — istniały.

Teraz, po czasie, kiedy już przyjechałem i tkwię przy stole jak manekin, cała ta wyprawa wydaje mi się nagle zwykłym nonsensem. Przybyłem tu, wiedziony nadzieją i ponagleniami żony, a w końcu siedzę cichutki, wyżęty z sił, upokorzony i ze wstydem patrzę ukradkiem sponad talerza. Widzę góry znikającego powoli żarcia, opróżniające się butelki, a w środku ssie mnie pustka, żołądek mam próżny, bo niczego przełknąć nie mogę: cienka parówka kojarzy mi się z tłustą glistą, czerwona kapusta z krowim łajnem. Nadziany na widelec kawałek tej glisty leży przede mną już od dwóch godzin. Nie jestem zdecydowany: podnieść do ust czy nie, przeżuć, czy nie przeżuć. Może z mięsa dźgniętego nożem wyszło już życie, ale nie jestem tak całkiem pewien, czy mi się między zębami samo nie poruszy i nie skrzeknie piskliwie. Siedzę i boję się: boję się jeść i pić, boję się podnieść, boję się mówić, aby nie mówić, żeby czasem nie powiedzieć, że się boję, że się wstydzę, że jestem tu martwy, mimo iż serce bije mi głośniej od starego zegara wiszącego na ścianie, wskazującego umykający złośliwie czas, nie wypełniony żadną moją cząstką, stracony, obcy i pusty jak mój żołądek.

Niby siedzę tu między nimi, bo przecież widzę dokładnie ojca, braci, ich żony, te rozchichotane, pieszczotliwe szczebiotki, jakby zawieszone beztrosko w gęstym, nagrzanym powietrzu niedużej izby, a jednak czujne, węszące, gotowe na to wewnętrzne skupienie, które potrafi zmusić do żarliwej modlitwy przeciw innym ludziom, przeciw wszelkim, także urojonym przeciwieństwom i przeszkodom. To wszystko widzę, a przecież jestem równocześnie poza nimi, zupełnie gdzieś indziej, w całkiem innych sytuacjach, już przebrzmiałych, bezpowrotnie odeszłych, niepowtarzalnych. Niby jestem, a mnie nie ma. Jestem tu, a tak, jakbym był we wszystkich miejscach mojego życia. I to jest najnormalniejsza ucieczka od tego, co jest — w to, co

Rys. Zygmunt Pytlik

było, a nawet co mogłoby być. Nie rozumiem jak to się stało, że niezliczone wątki, wydarzenia, zbiegi okoliczności wiodły mnie tu, właśnie tu, aż mnie przywiodły i posadziły za tym stołem...

Jeszcze wczoraj, na dwie godziny przed wyjazdem, nigdy bym nie przypuszczał, że do tego dojdzie. Ale po rozmowie z żoną, sam nie wiem dlaczego, zmieniłem nagle zdanie. Magda mówiła przecież bardzo rozsądnie:

— Wiesz, Stefan, ile zdrowia kosztowało nas postawienie willi. Mimo że oboje zarabiamy nieźle, mimo pokaźnej nagrody za twój wynalazek, jesteśmy na lata zadłużeni u Państwa i nie tylko. Odmawiamy sobie najprostszych rzeczy, oszczędzamy na jedzeniu, ubraniu i tak może potrwać jeszcze długi czas; dlaczego więc masz nie skorzystać z nadarzającej się sposobności, nie upomnieć się, choćby w części, o to, co się należy; przecież nie ty namawiałeś ojca do sprzedaży ziemi, nie wspominałeś o tym, ani nie przymawiałeś się na siłę, choć prawdę powiedziawszy, ty jeden nigdy nic od niego nie otrzymałeś, żadnej materialnej pomocy, wsparcia, które przecież nieraz rozwiązałoby nam ręce: to on sam, za własnym rozumem, nikogo nie pytając, a przynajmniej nie ciebie, sprzedał ziemię i powiadomił cię o tym, żądając abyś niezwłocznie przyjechał; wyznaczył nawet dzień, jakby konkretnie chodziło mu o załatwienie sprawy, która z pewnością i jemu leży na sercu. Nie powinieneś tym razem dać się ubiec braciom, którzy już tylekroć korzystali ze szczodrobliwości ojca i przy podziale pieniędzy za sprzedawany po trochu majątek nie myśleli o tobie, bo ty jesteś współczesny krezus, inżynier, który skonstruował maszynkę do robienia pieniędzy; oni wylgiwali od niego także twoją własność, twoją część, po chamsku i bez najmniejszych uprzedzeń, wiedząc, że się nie upomnisz, bo jesteś najdelikatniejszy i najbardziej honorowy, bo jesteś z nich najczystszy i nie będziesz chciał się w żaden sposób pobrudzić, bo to będzie poniżej twojej dumy, dumy człowieka, o którym piszą w gazetach, któremu od czasu do czasu przypina się krzyżyki i medale.

Słuchałem jej i wyglądało na to, jakby posiewała we mnie sobie tylko znane ziarno, które może wzejść niespodziewanie przy odpowiedniej pogodzie, a ja przeczucie tej pogody nosiłem już w sobie, ale jeszcze w nią nie wierzyłem, jeszcze się przed nią broniłem, bo pragnąłem oszukać siebie, lecz nie mogłem już zmylić Magdy. I dlatego pojawił się w moim sercu niepokój, który mnie nie odstępował i stawał się tak samoistny jak pamięć, albo jak myślenie. Choć nadal słuchałem żony, to jednak bardziej już słyszałem swoją prawdę, echo własnych słów zbudzonych jej słowami, które mógłbym teraz wypowiadać, a które wystarczało mi wszak pomyśleć. A skoro pomyślałem, już wiele rzeczy, które mogły być, ba, powinny być rzeczywistością, a nie były, wtedy przyszło na mnie opamiętanie. Ale było to widać zastanowienie uspakajające jedynie wyobraźnię, nie emocje, krótkotrwałe, okiełznane chłodnymi, wyważonymi słowami Magdy.

— Mówimy, myślimy, marzymy o samochodzie, tak jakbyśmy nie zdawali sobie sprawy, że w naszej obecnej sytuacji jest to zwykłą bzdurą — usłyszałem znowu. — Tak sobie kłamiemy i udajemy przed sobą, opowiadamy inną rzeczywistość, niż tą, w której żyjemy, oszukujemy się wzajemnie, żeby ułatwić sobie przetrwanie z willą na karku, będącą złotą bransoletą na ręce człowieka chorującego z niedojadania na rozstrój żołądka. Nie licząc się z siłami, chcemy do wszystkiego dojść sami, podczas gdy inni egoistycznie to wykorzystują, nie mają ambicji i skrupułów. Zresztą zapytaj znajomych, kolegów czy ci uwierzą, że oprócz pożyczek nie dostałeś od nikogo złamanego grosza, że na każdą rzecz, łącznie z daleko posuniętą nerwicą, zaharowałeś sam. Przecież oni wiedzą, skąd pochodzisz, wcale się z tym nie kryłeś, a tylko łyków ze wsi, którzy popróbowali karier, świata, stać dziś na wiele, bo niby pracują na luksus w mieście, a żyją z majątków na wsi; będąc w uprzywilejowanej sytuacji mogą ssać dwie piersi naraz. I co najgorsze, ty ich w tym przekonaniu utwierdzasz. Nie stękasz, nie narzekasz, zachowujesz się jak przystało na wspaniałego faceta, któremu się powodzi, który nie ma innych zmartwień niż budowanie willi i projektowanie kupna samochodu. I choćby oni mieli tysiąc domków i tysiąc samochodów, tylko twoje będą ich kłuły w oczy, bo oni na swoje wypruli flaki, a tobie wszystko przyszło łatwo i bezboleśnie. A w rzeczywistości ty nawet po własne, po to, co ci się należy, nie umiesz sięgnąć. Przyznaj jednak, choć nie mówiliśmy o tym głośno, każde z nas myślało o tej rezerwie, o tych pieniądzach, które mogłyby nam pomóc, które wcześniej czy później powinny do nas trafić, bo niestety, takie są układy i chyba słusznie rozstrzygają o nich jakieś prawa, inaczej chyba nie podejmowalibyśmy się tej budowy, bo to było porywanie się z motyką na słońce, nielogiczne dla ludzi rozsądnych, a przecież my jesteśmy ludźmi rozsądnymi i za takich pragniemy uchodzić. No, przyznaj, że wtedy tak myśleliśmy. Miejmy wreszcie odwagę sobie to powiedzieć.

Magda skryła twarz w dłoniach. Nie wiedziałem; płacze czy może śmieje się i cieszy z ulgi, że w końcu zrzuciła z siebie część ciężaru przygniatającego ją, kto wie czy nie nosiła go w sobie już od pierwszych lat naszego małżeństwa. Pochodzi z miasta i rzeczy, których dobrze nie zna, wydają jej się prostsze. Rozumiałem ją, byłem jej nawet wdzięczny, że zrobiła to właśnie teraz, tak jakby chciała otworzyć mi w ten sposób drogę od swojej strony. Wyczuła chyba kobiecą intuicją, że ja nigdy bym tego nie zaczął, bo, szczerze mówiąc, sam trochę wstydziłem się sytuacji, w której przypadła mi w udziale nieco durnowata rola. Szukałem więc w sobie zgody na opór, na bunt. Nie sądziłem tylko, że to nastąpi już teraz, że będę musiał zdobywać się na decyzję od ręki, jeszcze surowy, nieurobiony. Magda się we mnie owych prawd skrytych między wierszami doczytywała, przyszła mi z pomocą. A więc ona chciała tego, powiedziała mi to bez fałszu, tak jak byłem przyzwyczajony wiele rzeczy od niej słyszeć. Nie sprzeniewierzyła się sobie nawet w tym, wymagającym nie lada dyplomacji, momencie. A przecież nie użyła najważniejszego argumentu, że jest w ciąży, i sytuacja jeśli się zmieni, to tylko na gorsze.

Teraz, nad stołem, to wszystko wydaje się nierealne, umykające płochliwie w oparach alkoholu i jazgocie bratowych, bez historii; kończy się z moją energią i siłą woli, z tak starannie pielęgnowanym i podsycanym od wielu godzin dążeniem. Na dodatek, wciąż po talerzu łazi mi ta tłusta glista, która nawet myśli poraża wyobrażeniem obmierzłego, śliskiego dotyku. Nagle do świadomości mojej, przebudzonej jakby z krótkiego letargu, docierają słowa skierowane wyraźnie pod moim adresem:

— Tobie, Stefan, chyba już niczego nie brakuje. Urządziłeś się jak trzeba. Dla takich, jak ty, Polska jest najlepszą matką.

To żona Kazka, starszego brata. Wyszła z sąsiedniej wsi i zachorowała na wielką panią. Skołowała bratu łeb, bo jako najstarszy miał ojcowizną władać i do miasta wyciągnęła go zielony interes prowadzić. Za wydarte ojcu pieniądze kiosk z warzywami otworzyli i jeden Bóg wie jak im się wiodło, skoro ciągle musieli gdzieś dopożyczać i, prawdę powiedziawszy, stale u rodziców w kieszeniach siedzieli. Nie mogli mieć z sobą dzieci i to chyba było ich prawdziwym nieszczęściem.

— To właśnie tacy jak Stefan kraj nasz urządzają i w końcu wszystkim będzie w nim dobrze. Budują go przecież na własny obraz i podobieństwo, a więc najlepiej jak tylko mogą.

To lafirynda młodszego brata, trzeciego z kolei i ostatniego, nazywanego w domu Rzemykiem. Poznali się korespondencyjnie, przez jakąś gazetę zamieszczającą zdjęcia i adresy ludzi pragnących wymieniać znaczki, pocztówki i poglądy. Od czego zaczęli wymianę, nie wiadomo, dość że efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Ich małżeństwo stało się wydarzeniem. Najprzystojniejszy chłopak we wsi, za którym uganiały miejscowe dziewuchy, poderwał pannę miastową i to nie byle jaką, bo średnio wykształconą, z giętkim, złośliwym językiem, zachowującą wobec wszystkich wsiowych należny dystans, jak przystało na prawdziwą damę. Ta chłodna rezerwa, to był oczywiście pozór, pod którym kłębiły się najpospolitsze emocje. Z pewnością ona spodziewała się najwięcej i być może nadzieje zawiodły ją najdotkliwiej, bo potem odbijała to sobie niczym nie krępowanym, kulturalnym, „średnio wykształconym" chamstwem i tupetem, udając wiecznie pokrzywdzoną synową, ku widomemu przerażeniu ojca i, co tu ukrywać, niesmakowi pozostałych członków rodziny, oceniających ją stosownie do własnych interesów.

Tak się złożyło, że spośród trójki rodzeństwa w samodzielne życie wszedłem jako ostatni i mimo studiów, które czyniły mnie w domu gościem, sporo trosk, przykrości i kłopotów musiałem po śmierci matki dzielić razem z ojcem. Widziałem jego zmęczenie gospodarką, jak mocuje się z sobą, ze słabością, z wiekiem, z brakiem nadziei, jak tyra i okrawa ją stopniowo, by, zmuszony różnymi okolicznościami, pomniejszyć także to nie kończące się pole swojej udręki, jak zapada się w tę ziemię i rozsypuje w niej powoli tak, jakby ziarno dokładał do ziarna, grudkę do grudki.

Po „ucieczce" Rzemyka, bo tak jakiś czas nazywał małżeństwo najmłodszego syna, zakończone przeprowadzką do miasta, ojciec już wiedział, że na nikogo liczyć nie może. Zgorzkniał od tej

wiedzy, z której jasno wynikało, że jego praca traci sens. Wyszyna razem z nim i nikt z tego powodu jednej łzy nie uroni, tej trwającej od wieków sztafety nie przejmie.

Rzymkowie byli chciwi na grosz i choć z pewnością powodziło im się nieźle, albowiem oboje pracowali w znanym na cały kraj kombinacie chemicznym, bez żenady namawiali ojca do sprzedaży gospodarki. Cały szkopuł leżał dla nich jedynie w tym kto ojca weźmie do siebie. Oni oczywiście nie mogli, bo mieszkali, co prawda w oddzielnych pokojach, ale w jednym domu z rodzicami, których Rzemyk chytrze nazywał „teściami wygranymi w Toto-Lotka". Ten dom po śmierci rodziców miał przejść na ich wyłączną własność. Jednak do tego czasu było w nim niezwykle ciasno. A przecież wiadomo — są rodziną rozwojową i na jednym dziecku się nie skończy.

— ... i tata wie, teraz jesteśmy znowu w niedobrej sytuacji finansowej, bo chcą nam wejść na hipotekę.

To głos Rzemykowej, podsuwający jakiś o wiele gorszy wywód, ale słyszę go tak, jakby dochodził do mnie zza ściany, gdzieś spoza moich myśli. A więc przed zapadnięciem oficjalnych rozstrzygnięć gra toczy się w konwencji dyplomatycznej, nieustannie i wartko. Zmiękczające działanie takiej licytacji może okazać się wprost nieocenione, a ja, jak na ironię, wciąż jestem tutaj tylko ciałem, podczas gdy mój duch szybuje daleko stąd. Ktoś ciągnie mnie za rękaw:

— Stefan przepij, bo ci wódka serwatką podejdzie. Nie bądź taki pan inżynier. My też inżyniery drogowe.

Śmiech. To Kazek. Dla niego wódka to interes, a interes to wódka. Tedy jak interes, to interes. Muszę wreszcie wlać w siebie jakąś ludzką dawkę, żeby się choć trochę zgnoić, albo wstać i wyjść stąd.

— To już tak zhardziałeś, że z braćmi pić się wstydzisz? Twoje podniebienie od szlachetnych trunków wydelikatniało — w Rzemyku gorzałka buzuje już wyraźnie.

Wychylam swoją dolę, aby w ten sposób przerwać skierowany w moją stronę potok słów. Ale to nie odnosi żadnego rezultatu.

— Jeden gasi nam pragnienie, drugi łechce podniebienie — słyszę i znowu widzę przed sobą pełną szklankę, więc przewracam ją na raz, żeby nie myśleli: mięczak.

— Trzecia pójdzie na trawienie! — drze się Kazek.

Wolnego braciszkowie, myślę, na trawienie to ja już sobie wrzucę na ruszt coś konkretnego. I widzę, że na moim talerzyku leży taka w sam raz parówka. Sprzątam ją razem z kapustą.

— Swojej roboty — podpowiada mi przez stół ojciec.

Tutaj wszystko swojej roboty, myślę, wódka też swojej roboty — siekiera cholerna — i robota jest swojej roboty, i ojciec... Co ojciec? W tym cieple idącym od środka rodzi się raptem nieprzeparta chęć żeby się jeszcze dogrzać, rozniecić w sobie większy ogień, palić się wyższym płomieniem... Podnoszę raz, drugi szkło i sprawnie opróżniam je z gryzącej jak siarczan cieczy. Łagodnieją powoli uwierające mnie zewsząd ostre kanty, tępieją jakieś zadry sięgające głęboko w czucie. Tylko czujność ani odrobinę nie zostaje rozproszona. To jeszcze nie ten etap. Patrzę po twarzach należących do mojej rodziny i mimo pokaźnej rozpiętości wieku, wszystkie wydają mi się teraz suche i pomarszczone. Toczy je jakaś wspólna robaczywość. To miejsce jednoczesnego przecięcia w czasie i zainscenizowanej farsy jest widać dla naszych twarzy zabójcze, zrównuje je i posypuje popiołem.

Pozostałem czujnym i dokładnym obserwatorem, ale siebie już nie widzę. Pochłania i denerwuje mnie całkowicie fakt, że Rzemykowa bez przerwy szepce coś do ojcowego ucha, a on słucha z uwagą, cierpliwie i już się przestaje uśmiechać. Jakiś dzwonek alarmowy kołacze w mojej świadomości coraz głośniej. Przecież, tak naprawdę, to ja jeszcze palcem nie kiwnąłem, aby zejść z pobocza, by nie być biernym obserwatorem i włączyć się do gry. Teraz na przykład Kazek ojca do słonki ciągnie, żeby przez chwilę zostać z nim sam na sam, żeby tam go przydusić, jeszcze raz swój trudny życiorys opowiedzieć i jak zajdzie potrzeba, to nawet za gardło ścisnąć, bo taki niestety jest Kazek: krewki, rzutki, nieobliczalny. Ale, co to, Rzemykowa już na odsiecz ojcu podąża, boi się, żeby jej „pieczeń" przez ten czas nie wystygła, w dobrze nawieziony ogródek ktoś sprytniejszy nie wdepnął.

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że ojciec patrzy na mnie tak, jakby szukał ratunku, ale w czym ja mu umiem pomóc. Ja go mogę dodatkowo pogrzebać, całkowicie odebrać wiarę, że w tych warunkach zdoła coś jeszcze zrobić najsłuszniej. Ja także czekam sposobności, aby mu swoje powiedzieć. Wszak dotąd nic nie znaczyłem, bo byłem tym na górze, któremu „samo kapie", podczas gdy inni orali, ja wmawiałem sobie, że tak być powinno, że tak jest sprawiedliwie, bo prędzej czy później i ja będę miał i dla mnie przyjdzie czas na dawanie; wtedy wyliczę i wymierzę swoim dzieciom siebie, i powiem: bierzcie mnie, jeszcze to zostawiliście, jeszcze tego nie wzięliście — przez nieuwagę czy przez litość. Ale teraz ja też chcę brać, bo inaczej zakłócona zostanie kolejność, wypaczony sens tej zabawy, złamana logika i odwieczne prawo chciejstwa. Nie jestem gorszy przez to, że jestem lepszy, że chciałem być lepszy — słyszę jakby dalekie echo i myśli zaczynają trochę zachodzić na siebie, spiętrzać się i wierzgać. I byłoby to może wesołe, gdyby nie pobudzone, a uśpione dotąd instynkty: bronić swego, nie dać się wypchnąć z toru, uniknąć żałosnej śmieszności pogodzonego. Po to tu przyjechałem i po to tu jestem. Nie ma mnie innego.

Jeżeli ojciec sprzedał całą ziemię nad rzeką, to zostało mu akurat tyle, ile potrzeba do utrzymania się przy życiu. Tak więc skończą się dodatkowe dochody Kazka i Rzemyka. Teraz jednak napisał do wszystkich jednocześnie, a skoro napisał, to myślał chyba także i o doli dla mnie. Tylko że dola dolinierówna. Albo może przyzwał mnie jedynie na świadka, który swoją obecnością usankcjonuje niejako własną krzywdę i wynikającą z niej dalszą niesprawiedliwość, znakceptuje własne tchórzostwo, skrupuły i pożałowania godną nieporadność. Może ojciec już na stałe ułożył sobie hierarchie, według których dzieli i obdarza, karci i nagradza, niczym Bóg, którego przywilejem jest to, że wie lepiej. A może czyni tak, bo przeraża go wszystko, czego nie potrafi pojąć i ulega już tylko bezwolnie naciskom idącym od tego niewiadomego?

Natarczywe zachęcanie do picia przywraca mnie rzeczywistości. Duże dawki wchodzą ciężko, ale i tak lepiej niż poprzednie. W harmiderze głosów nie słyszę tylko cienkiego dyszkantu ojca.

— Handel, widzicie, to jest to, co po wierzchu! — grzmi Kazek. — Na górze wybierane, glanc pomada, a pod spodem jak leci, barachło czyli pic!

— Kaziku, daj spokój, po co zaraz takie rzeczy — piszczy jego żona.

— Ludzie dziś przemieszani i nie wiadomo z czym do kogo — wtóruje z zapałem Rzemyk, niby bez związku, a jednak powodowany jakimiś skojarzeniami.

— Byle we właściwym czasie i do swojego po swoje — osadza rzecz w realiach Rzemykowa, w realiach Polski i ojcowej chałupy, bo ta wie jak językiem w potrzebie obrócić.

Nagle ojciec, jakby pod wpływem tych słów, zrywa się od stołu i szybko zmierza w stronę drzwi. Rozbawione, zdezorientowane towarzystwo nie reaguje. Otwiera się więc przede mną szansa. Wiem wreszcie czego chcę: jestem silny i zdecydowany, gotowy na wszystko, nawet na wygrzebanie tego, co naturalny bieg czasu przysypał i w niepamięć zamienił. Podążam tedy za ojcem równie spiesznie, aby mi się przypadkiem w powietrzu nie rozpłynął, jak kropla deszczu w ziemię nie wsiąknął.

Ale ojca nie ma. Zniknął bezpowrotnie za czarną zasłoną, opuszczoną zaraz za progiem chałupy. W smolistych ciemnościach wczesnego wieczoru tracę orientację, nie dochodzi mnie żaden głos, na który mógłbym się nakierować. Dygocąc z zimna w późnojesiennym chłodzie wypatruję bezradnie znajomej postaci, nasłuchuję niespokojnie jej obecności.

— Gdzie jesteś, ojcze, gdzie się podziałeś? — wołam w pustkę tak szczelnie do mnie przylegającą. — Właśnie teraz, kiedy mogę być dla ciebie równorzędnym partnerem, właśnie teraz, kiedy tak dobrze to wiem...

Odpowiada mi jednak tylko cisza i w głowie kręci się coraz bardziej. Już nie jestem pewien, czy to, co przed chwilą wiedziałem, jeszcze teraz wiem i czy ta moja wiedza coś w ogóle znaczy. Ona jest, być może, już z innego świata, nieprzydatna tutaj, a niewykluczone, że nawet przeciwko mnie. I choć każdy z nas chce znać swoje miejsce, na czym stoi, gdzie się znajduje, to jednak powiedzcie, szczerze powiedzcie, komu zależy na sumowaniu strat, tych wyimaginowanych i tych rzeczywistych, no powiedzcie... tak z ręką na sercu...

Janusz B. Roszkowski

DOLINA KOŚCIELISKA KAPLICZKA

AVE MARYA
Mario, Mario,
kopy siana
sterczą na łące
jak twoje piersi,
a aniołowie
poruszają skrzydłami
zgarniając do kupy
skoszoną trawę,
święci w srebrze i złocie
jadą na trabiniastym wozie
prosto do nieba,
a jakiś prorok
zdejmując plecak
przepowiada burzę.

WODOGRZMOTY MICKIEWICZA

Bębenki w moich uszach
zaczynają drżeć
od huku spadającej wody,
nogi — wybijać rytm,
a ręce — klaskać,
głowa — kołysać się,
a usta — śpiewać;
i wszystko tańczy wokół mnie,
góry, doliny, niebo, ziemia,
a nawet ludzie, którzy idą
z dziećmi, kijami, plecakami,
przystają, zaczynają tańczyć
i śpiewać, i wybijać rytm,
i nagle widzę, że ich twarze
(przed chwilą otępiałe, szare)
są dzikie i wymalowane
najjaskrawszymi kolorami.

KALATÓWKI CELKA BRATA ALBERTA

Można być liściem,
który ukrywa się w koronie drzewa
lub spada na nas w chmurze liści,
głosem,
który zamyka się w echu
lub rozbrzmiewa nad nami w chórze głosów,
cieniem,
który nieruchomieje w blasku słońca
lub pozostaje w naszym cieniu,
ale najtrudniej, Bracie Albercie,
być dobrym jak chleb
dla ludzi,
którzy nie umierają z głodu.

*

Wmawiałem sobie,
że morze nie istnieje,
że to tylko słońce mnie oślepia
(zbyt białe, zbyt jaskrawe
jak na poranne słońce),
a jeśli nawet istniało,
to już dawno wyschło
(może jest w tym miejscu góra
albo las, albo wrzosowisko).
Wczoraj znalazłem na brzegu
rozkładającego się łabędzia,
wyglądał jak przedpotopowy ptak
odciśnięty na skamieniałym piasku;
otwarty dziób, połamane skrzydła,
podgięte łapy z pazurami
wycelowanymi prosto w moje serce.

*

Spotykamy się w ciemności,
w półśnie, w odrętwieniu,
jak większość ludzi i zwierząt
o tej porze roku.

Ty
w moim miłosnym płaszczu.
Ja
w twojej żałobnej sukni.
Śmiech jest zaraźliwy.
Smutek jest niewierny.
Bogowie są pasyjni
w czasie tragedii.

Wszystko mogłoby zarosnąć
trawą wieczności,
gdyby nie śnieg,
który pada
na nasz los.

*

Bądź morzem,
żebym mógł się w tobie wypiętrzyć,
górą,
żebym mógł w tobie zatonąć,
powietrzem,
żebym mógł się w tobie zakorzenić,
ziemią,
żebym mógł się w tobie zapaść...
Ale przede wszystkim
bądź kobietą,
żebym mógł się poczuć w tobie mężczyzną.

*

Śmieje się karzeł
przebrany w nagość swego króla.
Patrzy przez okno,
gdzie rozgrywa się
ostatni akt
tragedii.
Mur wokół zamku
jest żółty.
Liście na drzewach królewskiego ogrodu
są żółte.
Późne słońce
wyblakło i straciło barwę
(ale z pewnością jest żółte).
Na dziedzińcu
stoi król
z pożółkłą
twarzą.

*

Lato.
Piękny dzień.
Siedzę w słońcu,
oparty o drzewo.
Budzę się nagle,
gdy motyl poruszy skrzydłami.
Zrywam się
z bijącym sercem,
gdy zaszeleści trawa —
alarm!
Za chwilę trzmiel zabuczy
i z liści spadną
pierwsze krople
deszczu.

*

Porzuciliśmy drzewo w ogrodzie,
łabędzie w parku,
poziomki w lesie,
niewielki strumień,
w którym utonęło tyle papierowych statków,
drewnianego konia,
na którym stoczyliśmy tyle zwycięskich bitew,
pierwszych przyjaciół,
którzy wyrośli z naszych wspólnych zabaw,
matkę i ojca,
którzy z wielkoludów przemienili się w liliputów —
gdyby to było możliwe,
porzucilibyśmy bez żalu również siebie,
ale nie mamy na to czasu,
ponieważ musimy iść do pracy,
zrobić zakupy albo przewinąć dziecko.

MĄDROŚĆ I EMOCJE 1944

Dokończenie ze str. 1

Całą sprawę komplikowała rezerwa czy wręcz wrogość szerokich kręgów inteligenckich do PKWN, który krok po kroku, ale i w sposób rewolucyjny realizował własną wizję nowej Polski, opartą na ludowładztwie, socjalizacji stosunków społeczno-gospodarczych i sojuszu ze Związkiem Radzieckim. Postawy polityczne tych środowisk, jak i większości całego narodu, różnicowały się według schematu: część należała do PPS „Wolność—Równość—Niepodległość", inne grupy działały w Stronnictwie Ludowym i w chrześcijańsko-demokratycznym Stronnictwie Pracy, albo w skrajnie prawicowym Stronnictwie Narodowym. Trzy pierwsze partie stanowiły bazę polityczną rządu emigracyjnego w Londynie, ostatnia oscylowała między lojalnością a wrogością wobec tej władzy i podległych jej instytucji krajowego podziemia. Przedstawiciele inteligencji należeli ponadto do licznych pomniejszych organizacji, na przykład sanacyjnych, lub pozostawali poza partiami, działając np. tylko w zbrojnych formacjach podziemia.

Orientacje te łączyło przecież wiele, między innymi: żywa ciągle wśród Polaków pamięć o dramatycznej historii stosunków polsko-rosyjskich (rozbiory i powstania) oraz emocjonalna interpretacja wydarzeń nowszych (z lat 1920, 1939 i późniejszych), aktualizująca przekonanie o wiecznym zagrożeniu ze Wschodu, gdzie właśnie ukonstytuował się PKWN, wcielający w życie idee powstałej w 1942 r. PPR i sprzymierzonej z nią radykalnej lewicy oraz, co szczególnie ważne, uznający się za jedyną legalną władzę wykonawczą w Polsce. Tymczasem, jak zauważył Andrzej Wojtas, do momentu „powstania Krajowej Rady Narodowej (31 grudnia 1943/1 stycznia 1944 r. — przyp. aut.) rząd polski na emigracji był również dla ogółu Polaków symbolem państwa polskiego. Odegrał też poważną rolę w organizowaniu wysiłku zbrojnego zarówno na obczyźnie, jak i w kraju. Był również organizatorem walki cywilnej społeczeństwa polskiego". Walki, dodajmy, z natury rzeczy programowanej i rozwijanej w praktyce właśnie przez inteligencję, kreującą ducha podziemnego państwa.

To właśnie inteligencja stworzyła ten wyjątkowy w okupowanej Europie system walki, informacji i ochrony tożsamości narodowej jaką była prasa podziemna, obejmująca ponad 2000 tytułów, drukowanych w około 400 zakładach wydawniczych. Liczną grupę owych publikacji stanowiły pisma kulturalne, społeczno-polityczne i satyryczne. Wydawano też dzieła z literatury pięknej i naukowej oraz podręczniki szkolne. W podziemiu działały ponadto organizacje i instytucje kulturalne, artystyczne, naukowe.

Zrozumiałe więc, że ludzie o takiej świadomości historycznej i politycznej, z narażeniem życia walczący o wskrzeszenie państwa na zasadach przedwojennych (z wykluczeniem autokratycznej formy rządów) nie chcieli i nie mogli, w poczuciu swych racji moralnych i konkretnych dokonań, z miejsca zaakceptować programu ideowego, który był sprzeczny ze światem ich pojęć i emocji. „Przy absolutnie chłodnej analizie — trafnie zauważył Jan E. Zamojski — odrzucającej względy emocjonalne, koncepcja PPR była logicznym i spójnym wewnętrznie wnioskiem, wynikającym z zachodzących w tej części Europy procesów społeczno-politycznych, geostrategicznego położenia Polski, jej miejsca w obozie aliantów oraz stosunków między członkami „wielkiej trójki". Jednakże logika wewnętrzna owej koncepcji, logika historyczna, jeśli to określenie jest tu właściwe, rozmijała się z kierunkiem emocji, resentymentów, oczekiwań i wyobrażeń części społeczeństwa polskiego".

No cóż, uczucia zawsze ceniono u nas bardziej, niż racjonalną kalkulację. „Do opinii polskiej wszystkich czasów rzadko kiedy przemawiało chłodne, logiczne i formalne rozumowanie prawne; znacznie silniej przemawiały frazesy" — napisał Ksawery Pruszyński w książce „Margrabia Wielopolski", będącej próbą wyniesienia i przychylnego zrozumienia tego tragicznego polityka z czasów powstania styczniowego, który zdając sobie sprawę z bezcelowości zrywu narodowego, usiłował powstrzymać powstańców i za to m.in. wpisano go do naszej historii pod postacią — że posłużę się „współczesną" terminologią — kolaboranta. Odmienne wizerunki Wielopolskiego pojawiały się rzadko, ale prawdą jest, że margrabia, w wiele lat po śmierci, wzbudzał życzliwe zainteresowanie takich ludzi, jak Aleksander Świętochowski, Bolesław Prus czy Roman Dmowski.

Wybitny publicysta, reporter i pisarz, uczestnik kampanii norweskiej pod Narvikiem, Pruszyński napisał tę książkę z powodów politycznie aktualnych: w 1944 r., a więc po powrocie do Londynu z placówki dyplomatycznej rządu emigracyjnego w Moskwie i Kujbyszewie, gdzie redagował czasopismo „Polska". Przebywał tam, wrażliwy obserwator radzieckiej rzeczywistości, w latach 1941—1943, aż do zerwania stosunków między Moskwą a rządem Władysława Sikorskiego, którego pamięci, co znamienne, zadedykował właśnie „Margrabiego Wielopolskiego". „Jakże lepiej ode mnie zrozumiał Pruszyński wtedy, co się z nami stanie. Mnie wierność uderzyła na mózg, utrudniała rozeznanie. On także wolałby być wierny, ale wiedział, że to się na nic nie zda..." — pisał we wstępie do drugiego wydania książki Stanisław Cat-Mackiewicz, wybitny działacz konserwatywny w międzywojniu, premier rządu emigracyjnego w latach 1954—1955, błyskotliwy eseista i dziennikarz. Napisał dopiero po powrocie do kraju w 1956 r., sześć lat po tragicznej śmierci Ksawerego Pruszyńskiego, posła i ministra pełnomocnego Polski Ludowej w Holandii, który zginął w wypadku samochodowym w RFN.

W 1944 r. „wierność uderzała na mózg" z niesłabnącą siłą... Chcąc pozyskać nieufne kręgi inteligencji, PKWN musiał m.in. podjąć konkretne działania na rzecz ochrony i odbudowy kultury polskiej, musiał zatroszczyć się o byt ludzi wyznaczających humanistyczny horyzont społeczeństwa. Trzeba przecież wyraźnie powiedzieć, że względy doraźnej taktyki politycznej sensu stricto, mającej na celu swoistą reorientację wspomnianych środowisk i spektakularne efekty propagandowe o szerszym zasięgu, w żadnym razie nie wyczerpywały listy motywacji, które sterowały aktywnością PKWN w sferze kultury. Są liczne dowody na to, że władze dostrzegały wówczas w kulturze także wartości autonomiczne, samoistne i bezinteresownie wspierały twórców, nie licząc na „daninę" polityczną z ich strony. Wynikało to po części z faktu, że w instytucjach i partiach radykalnej lewicy, także „po tej stronie"! inteligencja humanistyczna posiadała poważne wpływy, a jej przedstawiciele zajmowali mniej lub bardziej eksponowane stanowiska. Należy przy tym wspomnieć, że liczna grupa dziennikarzy i pisarzy, malarzy i grafików, aktorów i reżyserów teatralnych oraz filmowych, architektów i muzyków przybyła do Lublina w mundurach Wojska Polskiego ze Związku Radzieckiego, gdzie znalazła się po klęsce wrześniowej, by wstąpić później do jednostek 1 Armii WP. Ludzie ci, niejednokrotnie znani już ze swej twórczości w międzywojniu, redagowali gazety dywizyjne, pisali okolicznościowe wiersze, artykuły i skecze, wykonywali plakaty propagandowe, występowali na scenie, kręcili kroniki filmowe, słowem — współtworzyli żołnierską kulturę, szkicując zarazem projekty nowej kultury w wolnej Polsce. W Lublinie okazali się także animatorami „cywilnego" życia umysłowego i artystycznego.

Wokół nowej władzy krążyły różne opinie, ale i w samym środowisku PKWN rozwijały się dyskusje i istniały spory, powodowane przez odmienne interpretowanie np. tez Manifestu Lipcowego. Jak po latach zauważył Stefan Matuszewski, bezpośredni uczestnik lubelskich wydarzeń, czołowy działacz PPS, „i w łonie bloku demokratycznego, akceptującego ten program, nie brakło istotnych czy wręcz zasadniczych rozbieżności co do form i etapów jego realizacji. Manifest PKWN proklamował wprawdzie zasady ustrojowe Polski odrodzonej, ale ich interpretacja — zwłaszcza co do tempa i zakresu przeobrażeń w pierwszej fazie odbudowy kraju — była w naszym środowisku kwestią dyskusyjną czy nawet przedmiotem sporu, który narastał w miarę dojrzewania „kompromisu" z ekipą Mikołajczyka w późniejszym Rządzie Jedności Narodowej..."

Okres PKWN to Polska in statu nascendi, pełna polemik i kontrowersji, które także stanowiły o barwie i wartości tych miesięcy inicjacji nowego ustroju.

Manifest stwierdzał, że „Odbudowa szkół zostanie natychmiast podjęta", nie wspominając o konieczności odbudowy innych obiektów kultury. Dziś wiemy, że straty na tym obszarze były ogromne i łącznie ze zniszczeniami w wyposażeniu różnych instytucji wyniosły 5365 mln złotych przedwojennych. Jeśli dodamy do tego 3 mld złotych, które określają straty szkół wszystkich rodzajów oraz instytucji naukowych, otrzymamy obraz tyle wstrząsający, co niepełny, bo nie uwzględniający — jak trafnie zauważył Tadeusz Szarota — wartości artystycznej zniszczonych czy zagrabionych dzieł sztuki, starodruków, zabytków itp.

PKWN istniał zaledwie kilka miesięcy i to, co zrobił dla odbudowy materialnej bazy kultury, stanowiło przysłowiową kroplę w morzu potrzeb. Inaczej być nie mogło. Ale w tych rejonach kultury, w których znajdował pewne możliwości działania, dokonał niewiarygodnie wiele. Ilustrują to prace dwóch jego resortów (ministerstw): Kultury i Sztuki z Wincentym Rzymowskim na czele oraz Informacji i Propagandy, którym faktycznie kierował Stefan Matuszewski, formalnie zaś — Stefan Jędrychowski. Poświadcza to działalność sterowanego przez Stanisława Skrzeszewskiego Resortu Oświaty.

„Do zakresu działania Resortu Kultury i Sztuki — precyzował Dekret PKWN z 15 września 1944 r. — należą: a) piecza nad twórczością w dziedzinie literatury, teatru, muzyki, choreografii, sztuk plastycznych i zdobniczych, fotografii i cyrku, b) krzewienie kultury i sztuki w kraju, c) propaganda polskiej kultury i sztuki za granicą, d) piecza nad muzeami i ich zakładanie oraz ochrona zabytków, e) szkolnictwo artystyczne, o ile sprawy te nie są wydzielone do zakresu działania innych resortów".

Natomiast Dekret z 7 września 1944 roku kierował w pole uwagi Resortu Informacji i Propagandy: „sprawy agencji prasowych, informacyjnych i telegraficznych, sprawy radiofonii, sprawy produkcji filmowej i kinematografii, wydawnictw informacyjnych i propagandowych oraz sprawy propagandy masowej w kraju, propagandy za granicą".

Obydwa resorty i podległe im instytucje, kierując się ideą demokratyzacji życia społecznego, zaczęły w praktyce szkicować model nowej kultury, otoczyły opieką ludzi nauki i sztuki oraz zachowany majątek o walorach artystycznych i zabytkowych. W warunkach powszechnego niedostatku już jesienią 1944 roku zabezpieczono oranżerię pałacową w Radzyniu Podlaskim, przeznaczoną po części dla potrzeb kulturalnych, podejmując jednocześnie odbudowę samego pałacu. W tym też okresie utworzono dwa pierwsze muzea: w Kozłówce pod Lubartowem i Łańcucie, w niedawnych siedzibach magnackich. A działo się to wszystko w warunkach wojennych, kiedy front stał niecałe 50 km od Lublina, a nad miastem pojawiały się niemieckie samoloty.

Nie ulega przy tym wątpliwości, że reanimacja polskiego życia kulturalnego w okresie Polski lubelskiej w wielkim stopniu była dziełem spontanicznej inicjatywy obywateli, którzy po latach terroru mogli oto realizować się na wolnej scenie. Ale prawdą też jest, że znaczny wpływ na wyzwolenie owej społecznej energii miała działalność władz kulturalnych, które stwarzały realne wartości pod hasłami wyzwolenia narodowego i demokracji, respektując zarazem zasadę pluralistycznego rozwoju kultury artystycznej. Program głębokich przeobrażeń ustrojowych, sformułowany przez radykalną lewicę i realizowany w praktyce rządu ludowego, złożonego początkowo z pięciu członków PPR, trzech — PPS, czterech — SL, jednego przedstawiciela SD i dwóch bezpartyjnych, taki program mógł nie odpowiadać wcale licznym kręgom społeczeństwa, ale na pewno do zdecydowanej większości Polaków przemawiała idea wolności narodowej i pracy na rzecz odbudowy kraju: materialnej i moralnej, mocno eksponowana przez władze także w sferze codziennego życia kulturalnego.

Ireneusz J. Kamiński

Okolice sztuki

Sigalin i inni

LISTA gości obejmowała 38 nazwisk, m.in. ministra Wincentego Rzymowskiego, poety Juliana Przybosia, malarza Stanisława Teisseyrre'a i Henryka Zamorowskiego, znanego inżyniera lubelskiego.

Wśród 31 gospodarzy znajdowali się: Władysław Czerny, Czesław Gawdzik, Juliusz Goryński, Romuald Gutt, Bohdan Lachert, Józef Sigalin, Tadeusz Witkowski, Bohdan Kelles-Krauze i Lech Niemojewski.

Ludzie ci spotkali się 5 listopada 1944 r. w lokalu Stowarzyszenia Inżynierów i Techników przy ul. Chopina w Lublinie, by po raz pierwszy po wyzwoleniu przedyskutować kilka fundamentalnych kwestii odbudowy kraju i wznowić działalność SARP. Było to zebranie ważne, ale w książkach wspomnieniowych z czasów PKWN próżno szukać informacji o ówczesnych architektach, choć traktują one o wielu sprawach istotnych i zabawnych: że np. minister finansów w teczce nosił wtedy cały skarb państwa, a Janusz Minkiewicz pojechał z wycieczką inteligencji polskiej do Moskwy głównie dlatego, iż spotwarzy się na pożegnalnym bankiecie, zasnął pod stołem biesiadnym, unikając dzięki temu kontrolującego spojrzenia oficera radzieckiego, który przy nazwiskach osób mocno zawianych stawiał fatalny krzyżyk... Wydawnictwa naukowe także milczą o architektach. Co więc działo się na zebraniu, opowiem w skrócie.

Pomijając dramatyczne relacje o losie architektów w okupowanej Warszawie i innych miastach Rzeczypospolitej (o sprawach lubelskich mówił Czesław Gawdzik), zaznaczając tylko, że Przyboś marzył głośno o „architekturze prostej, celowej, która będzie organizowała ruch produkcyjny człowieka masowego" (idee międzywojennej „Zwrotnicy" i „Bloku"), zatrzymajmy się przy wybranych punktach referatu Józefa Sigalina pracownika PKWN, który to tekst nosił tytuł: „Organizacja odbudowy Polski w zakresie architektury, urbanistyki i budownictwa".

Kraj jest zniszczony — zaczął Sigalin — brakuje materiałów budowlanych i ludzi, nie funkcjonuje żadna politechnika, czynne są tylko dwie szkoły zawodowe o odpowiednim profilu, w Lublinie i Jarosławcu, a chaos w gospodarce powoduje, że „daje się zauważyć niechęć wśród sił fachowych do zgłaszania się do pracy przy odbudowie kraju i zajmowania stanowisk w aparacie państwowym i samorządowym". W opłakanym stanie znajdują się lasy i parki oraz zabytki. Co więc należy robić?

„Dla zapewnienia celowej odbudowy i przebudowy kraju konieczne jest: a) planowanie w skali krajowej, zharmonizowane i połączone z ogólnokrajowym planowaniem w dziedzinie gospodarczej, komunikacyjnej, gospodarki leśnej, wodnej, łączności, bezpieczeństwa, wymogów wojskowych itp".

Biorąc pod uwagę skalę zadań czekających na rozwiązanie, należy upowszechnić projektowanie typowe i budowanie przemysłowe, przy jednoczesnym, przynajmniej na początku, popieraniu rzemiosła budowlanego. Zawsze natomiast, podkreśla Sigalin, trzeba rozwijać rzemiosło artystyczne, „jako wyraz odrębności kulturalnej Narodu i jako źródło pomysłów dla wytwórczości przemysłowej".

Referent widzi też sens w promowaniu przedsiębiorstw budowlanych, „przede wszystkim spółdzielczych, a także i prywatnych", które powinno się włączyć w system gospodarki planowej „przez odpowiednie kredytowanie". Sigalin podkreśla zarazem konieczność „stworzenia wzorowego [! — uw. aut.] państwowego przedsiębiorstwa budowlanego", które świeciłoby przykładem w zakresie technologii i organizacji pracy.

Kapitan stawia na koniec wniosek o powołanie trzymającego to wszystko w garści aparatu państwowego, czyli Resortu Budownictwa i Architektury oraz biur planowania o różnym zasięgu terytorialnym...

Wystąpienie Sigalina zebrani przyjęli na ogół przychylnie, tylko M. Jankowski zauważył, że „do aparatu państwowego szli zwykle ludzie, którzy sobie nie mogli dać rady w życiu", a W. Czerny zmartwił się nadmiernym, jego zdaniem, etatyzmem projektu.

Pointa: architekci byli jedynym środowiskiem twórczym Lublina PKWN, które na tym oto zebraniu sformułowało komplet tez do programu swej przyszłej działalności — tak owocnej, co najważniejsze, w latach bezpośrednio powojennych, sygnowanych Trasą W-Z, Centralnym Domem Towarowym w stolicy gmachem Głównego Urzędu Statystycznego, osiedlem WSM na Kole i imponującym projektem centrum Warszawy, opracowanym przez słynnego później w świecie Macieja Nowickiego.

Edward Osóbka-Morawski zauważył dwa lata temu, że dla uzdrowienia sytuacji w dzisiejszej Polsce warto byłoby powrócić do doświadczeń z czasów PKWN i nieco późniejszych

IJK

Zrobiłem swoje, jadę nad morze...

Rozmowa z Lesławem Ćmikiewiczem trenerem I-ligowego „Motoru"

— Udała się panu duża sztuka. W pierwszym roku samodzielnej pracy trenerskiej wprowadził pan do ekstraklasy drużynę piłkarską. Dodajmy jeszcze iż wcale nie musiał pan wybierać „Motoru" gdzie presja na awans była duża, bo było kilka innych klubów chętnych na Ćmikiewicza...

— Dla porządku dodam, że i w „Motorze" nikt nie postawił mi zadania pn. awans. Jeśli zaś mowa o sztuce, to udała się ona przede wszystkim chłopakom z drużyny. To oni wychodzili w końcu na boisko, a nie ja, czy działacze...

— Ale pan ich przygotowywał, szkolił.

— Zbyt wiele ich nie nauczyłem. Jeżeli już czegoś, to atmosfery. Przyjacielskiej, partnerskiej, koleżeńskiej. Było to niezbędne do odniesienia sukcesu.

— Chce pan powiedzieć, że samopoczucie piłkarzy jest ważniejsze od umiejętności?

— Nie. Ja chcę powiedzieć, że bez atmosfery, nawet przy dużych umiejętnościach, daleko się nie zajedzie. Mam parę przykładów z własnej kariery zawodniczej.

— A my to znamy z przykładu „Motoru" pod rządami pańskiego poprzednika. Czego pan nie nauczył swoich podopiecznych?

— Nie udało mi się przekazać im umiejętności taktycznych, które powinni posiadać, jeśli mamy poważnie myśleć o utrzymaniu się w pierwszej lidze. Myślę, że jest to w jakiś sposób związane z brakiem pełnowartościowych pomocników, przede wszystkim rozgrywającego, dyrygenta gry kierującego także taktyką w czasie spotkania. Nie jest to oczywiście pełne wytłumaczenie. Innym — również cząstkowym — mogą być wcześniejsze zaszłości, braki w wiedzy taktycznej, które dziś trudno uzupełnić u nie najmłodszych przecież zawodników.

— Myślę, że aby pozostać w I lidze dłużej niż sezon, potrzebne są wzmocnienia we wszystkich formacjach.

— Zgadzam się. Transfery są konieczne, tylko jak to wytrzyma klub finansowo? W tej chwili za zawodnika niezłej klasy płaci się już około 8 milionów. Do takich cen w znacznym stopniu przyczynił się „Widzew" Łódź, mający — po kontrakcie Bońka do Włoch — fantastyczne możliwości finansowe. Wracając do tematu dodam, że we wszystkich formacjach brak jest zawodników wiodących.

— Czy ma pan już jakieś konkretne przymiarki?

— Tak. Wolałbym jednak o tym nie mówić. Jest za wcześnie.

— Czy mógłby pan ocenić kolejno swoich zawodników?

— Nie widzę przeszkód...

— Kalinowski?

— Duża podpora drużyny. Mimo 35 lat jest ciągle dobry. Jego powrót znacznie wzmocnił drużynę.

— Bejman?

— Niezła technika. Dobry fachowiec. Nie mógł zaprezentować umiejętności, bo... „Kali" bronił bardzo dobrze.

— Fiuta?

— Przykład woli walki, ambicji i zaciętości. Z takim zawodnikiem nawet przegrać warto.

— Pełkowski?

— Dobre warunki fizyczne. Duże możliwości. Przy tym jednak brak doświadczenia i ogrania. Musi pracować nad techniką.

— Boguszewski?

— Młody, ambitny. Czasami ponosi go fantazja i wynikają z tego kłopoty. Zrobił postępy w technice uderzenia piłki. Czeka go jeszcze dużo pracy. Na razie rywalizuje o miejsce z Carem.

— Car?

— Bardzo pracowity, sumienny i zdyscyplinowany. Brakuje mu ogrania w poważnych meczach. Będzie z niego pożytek.

— Grzanka?

— Bardzo pracowity, ambitny. Brakuje mu jednak sobiności w grze. Traci zbyt wiele łatwych piłek. Musi pracować nad techniką.

— Wójtowicz?

— Dobry technicznie, dużo umie. Potrafi „czytać" grę. Brakuje mu jednak dynamiki i to jest zasadniczy mankament.

— Dębiński?

— Duża dynamika i siła fizyczna. Braki techniczne, kłopoty ze strzałem.

— Pop?

— Wielka rutyna. „Nos" piłkarski pod bramką przeciwnika. Braki w dynamice.

— Witkowski?

— Bardzo dobry drybling, ale brak konsekwencji w grze. Częste przestoje i pasywność.

— Leszczyński?

— Niezła technika i przegląd sytuacji. Braki dynamiki.

— Szaniawski?

— Bardzo dobra szybkość, niezły drybling. Braki taktyczne i w zakresie techniki użytkowej. Atutami są, w jego przypadku, młody wiek i pracowitość.

— Kudyba?

— Bardzo dobra gra głową i słaba nogami. Braki w technice użytkowej i dynamice.

— Rabenda?

— Niezła technika i drybling. Brak wykończenia akcji.

— Sztlewicz?

— Duży zawód. Nie przepracował zimy. Stać go na więcej.

— Czy ktoś z nich zamierza opuszczać „Motor"?

— Nic o tym nie wiem.

— Co dał panu miniony rok piłkarski w Lublinie?

— Jedną wielką huśtawkę nastrojów. Góra — dół. Z tym, że w pierwszej rundzie był zdecydowany dół. A wiosną powolutku, od meczu z „Hutnikiem" w Krakowie (3:2), zaczęła się górka. Prawdziwa góra zaś po wygraniu z „Resovią" (4:0). A teraz to już Mount Everest.

— Cieszy to pana?

— Za stary lis piłkarski jestem... Teraz mnie poklepują, ale jak bym tej ligi nie zrobił, to bym musiał pakować walizki. Mam pełną świadomość, że jak nie będzie drużynie szło, to będę musiał odejść. Trochę satysfakcji też oczywiście jest, ale dominuje u mnie niechęć do ulegania nastrojom i przeświadczenie o własnej niedoskonałości, brakach...

— Czy wierzył pan w ostateczny sukces?

— Owszem, ale miałem chwile zwątpień. Wtedy starałem się sobie wmawiać: „Zobaczysz, na twojej ulicy też zaświeci słońce". Jakoś zaświeciło zza tych ciemnych chmur...

— Nie da się uniknąć tego pytania. Chcąc nie chcąc, był pan porównywany z trenerem Waligórą. Czuł pan?

— Dano mi to odczuć. Oczekiwano nawet, abym postępował podobnie jak on. Naśladownictwo nie leży jednak w mojej naturze. Robiłem swoje. O wszystkim i tak w końcu decydują wyniki.

— Co pan sądzi o lubelskiej prasie sportowej?

— Byliśmy, wspólnie z chłopakami, w pewnej chwili, na nią oburzeni. Za to, że nie była — naszym zdaniem — obiektywna i zbyt wcześnie na nas kładła krzyżyk. Powodów do klepania może nie było, ale... Ale piłka była jeszcze w grze... Jeżeli krytyka jest rzeczowa, oparta na racjonalnych argumentach, jest zawsze krytyką potrzebną. Dobrze, że ostatecznie wyniki zadecydowały, czy się myliliśmy, czy nie. Skoro już padło takie pytanie, chciałbym zauważyć, iż „Kamena" wierzyła w nas od początku; od trudnego początku. Za to serdecznie dziękuję w swoim i chłopaków imieniu.

— A ja — za miłe słowa. Jakie ma pan plany na najbliższy czas?

— Zrobiłem swoje i... jadę z rodziną nad morze. Należy im się ten tydzień z ojcem i mężem. A mnie z córkami i żoną.

— A potem?

— Normalka. Od 11 lipca trenujemy w Lublinie. Od 15 lipca do 2 sierpnia — zgrupowanie w Olecku k. Białegostoku. Potem powrót i 7 sierpnia inauguracja rozgrywek I ligi.

— Cel „Motoru" w tych rozgrywkach?

— Realistyczny. Utrzymać się w lidze.

— Zwykle z okazji awansu ktoś komuś gratuluje, a ktoś komuś dziękuje. Więc...

— Podziękowania należą się przede wszystkim kibicom lubelskim, którzy w ostatnich meczach tłumnym przybyciem na stadion dowiedli, że chcą oglądać futbol na przyzwoitym poziomie i że się na nim znają. Czeka nas trudne zadanie udowodnienia, że „Motor" stać na dostarczanie im emocji i gry, jakich oczekują. Proszę zatem o wyrozumiałość i zrozumienie. W zamian obiecuję, że tanio skóry nie sprzedamy...

— Wydaje się, że taki układ z kibicami jest do przyjęcia. Życzymy powodzenia w pańskim debiucie pierwszoligowym. A póki co, słońca nad Bałtykiem.

Rozmawiał: **W. P.**

Inwazja z planety Rocka

W DRUGIEJ dekadzie lat siedemdziesiątych, kiedy nastolatki zachwycały się „Gorączką sobotniej nocy" utalentowanej familii Gibbów i „seksownymi" westchnieniami Donny Summer, zepchnięci do katakumb apologeci rocka wylewali krokodyle łzy i szykowali odwet. Udał im się on całkiem szybko za sprawą pierwszych festiwali Muzyki Młodej Generacji. Promowały one przede wszystkim to, co ostre i rytmiczne, wolne od dyskotekowego banału, jak się wówczas mówiło. „Śmierć disco! Niech żyje rock!" — wypisywali na transparentach długowłosi zwolennicy Exodusu Krzaka Kombi i innych propagatorów rockowego szaleństwa.

Sytuacja początku lat osiemdziesiątych wygląda już zgoła inaczej. Na estradach, w radiu i telewizji panuje wszechwładnie rock, zagłuszający skutecznie wszystkie inne formy muzycznej wypowiedzi. W odstawkę dawno poszli złotouści interpretatorzy muzyki pop i country, propagatorzy poezji śpiewanej, piewcy protest-songów i entuzjaści bluesa. Prym wiodą teraz neofici — Manam, Perfect, Republika, Lady Pank choć stara gwardia (Budka Suflera, Exodus, Dwa Plus Jeden, Bajm) nie oddaje łatwo pola walki i coraz rozbłyskuje efektownym fajerwerkiem.

Mocno nakręcona koniunktura pozwala doskonale prosperować różnym promotorom, managerom (choć tacy w naszej oficjalnej nomenklaturze estradowej nie istnieją), tekściarzom, właścicielom aparatury nagłaśniającej, producentom pamiątkowego kiczu i samym muzykom, jakkolwiek tylko ci najbardziej obrotni dorobili się fortun. Na powodzeniu rockmanów zarabiają świetnie fonograficzne firmy polonijne (cena longplaya 700 zł, a kasety 695 zł) i przedsiębiorstwa organizujące koncerty. Rock to w przekonaniu speców złota żyła, choć nie dla wszystkich. Muzyk rockowy — będący przeważnie amatorem bez stosownej kategorii weryfikacyjnej — to muzyk śmiesznie tani. Zatrudniający go na scenie pracodawca płaci o wiele niższe stawki, niż — dajmy na to — filharmonikowi, śpiewającemu aktorowi lub jazzmanowi, a przy tym żaden z nich nie zapewni promotorowi zysku, jaki gwarantuje rockman, którego można eksploatować dowolnie. Zresztą im więcej, tym lepiej (dla sponsora i wykonawcy).

Ale choć boom rockowy przybrał u nas nadspodziewane rozmiary, liczba „markowych" wykonawców nie jest znowu niebotyczna. Chcąc dobrze prosperować, należy w miarę szybko szukać nowych talentów i sposobić je do rzemiosła. Warto przyjrzeć się bliżej temu zjawisku. Że jest to polityka rabunkowo-łupieska, nie mam najmniejszych wątpliwości. Ledwie ujawnione zdolności miażdżone są brutalnie w trybach rozrywkowej machiny.

Na fali zainteresowania dynamiczną muzyką i jej różnymi wcieleniami powołano do życia sopocki festiwal Pop Session, przemianowany z biegiem czasu na Ogólnopolski Przegląd Muzyki Młodej Generacji w Jarocinie. Nie koniec na tym. Rychło przybyli mu konkurenci z hasłem „Rock" w nazwie, a więc Rockowisko, Rock Arena, Rock Na Wyspie, Open Rock, Kart Rock, Silesian Rock, Mal-Rock i kilka innych. Zaludniają je czystej wody amatorzy, zauroczeni najczęściej heavy metal i ufni w szczęśliwą gwiazdę, która pozwoli im zająć miejsce obok TSA i Republiki. Są to przeważnie utopijne mrzonki bez pokrycia, bo poziom większości startujących w tych przeglądach zespołów jest zgoła żenujący. Najważniejszym wydaje im się, aby było szybko i głośno. Reszta się nie liczy. Potwierdził to zresztą majowy półfinał Turnieju Młodych Talentów w Lublinie. Z dziesięciu hałasujących niemiłosiernie wykonawców jury nie mogło wybrać jednego. W innych półfinałowych ośrodkach było ponoć jeszcze gorzej.

A jednak — mimo fatalnego poziomu, poważnych luk w teorii i praktyce oraz braku znajomości podstaw harmonii — amatorzy trafiają na „dużą" scenę. Ba, zyskują nawet niezłe na ich możliwości gratyfikacje. Lansują ich wspomniani organizatorzy rockowych „spędów", wyłaniający z wielkiej masy startujących jakiegoś „laureata". A że są to często i gęsto instrumentaliści bezradni, bez cienia wyobraźni (exemplum w postaci triumfatora ubiegłorocznego przeglądu jarocińskiego — Rekonstrukcji z Kalisza), tym większa żałość dla wyrobionych słuchaczy i zwolenników wartościowej muzyki.

Laureatów otacza się opieką artystyczną, oznaczającą możliwość częstego koncertowania, promocję radiową i prasowe laurki w pismach ilustrowanych. Rozkrzyczaną nieprzytomnie reklamą, popartą słowem zachęty z fal eteru wiernej rockowi „Trójki", przekonuje się nastolatków o narodzinach nowej gwiazdy, której koncerty wywołują wiele emocji, 14, 15 i 16-latkowie mają słabo rozwinięty zmysł krytyczny wobec szmiry oferowanej im przez starych wyjadaczy. Kupują więc coraz droższe bilety na występy Oddziału Zamkniętego, De-Zertera, Śmierci Klinicznej, LSD (Lepszy Spokojny Dzień), Regresu, Sprutego Wora, WC i innych słowotwórczych przebierańców, i coraz kosztowniejsze, choć wcale nie bardziej atrakcyjne płyty. Młodzież co prawda nie zarabia, ale ulegli rodzice umożliwiają pociechom kontakt z ich idolami. Nie odmówią 400 zł na koncert amatora strojącego się w piórka gwiazdy estrady.

Pamiętam, że kilka lat temu debiutant musiał długo terminować i wykazać się odpowiednim dorobkiem nagraniowym, by mógł kursować po Polsce w towarzystwie zagranicznego zespołu. Dziś kryteria doboru uległy znacznej liberalizacji. Posyła się więc w prestiżową trasę koncertową wykonawcę z kilkumiesięcznym zaledwie stażem i dwoma (sic!) nagraniami radiowymi na koncie. Przykład łódzkiego Rezerwatu, kompromitującego się dokładnie przed popisami Brytyjczyków z zespołu Classix Nouveaux, nie jest bynajmniej odosobniony.

Zresztą nie dziwmy się zauroczonym możliwością szybkiej sławy muzykom. Kiedy mają odbywać próby i szlifować warsztat, jeśli ich promotor zaraz po starcie zaprzęga do koncertowej kolomyjki? Czyżbyśmy naprawdę wszyscy dali się już zwariować? Przed kilku laty organizacja ZSMP obiecywała solennie rozśpiewać polską młodzież. W tym celu nawet powołano nowy festiwal w Toruniu. Niestety, skutków akcji nie widać do dziś, a pokolenie głuchych rośnie jak na drożdżach. Oczywiście wybrzydzam na muzyczną tandetę z przekonaniem, że będzie to głos wołającego na puszczy. I tak zagłuszą mnie mocą zaprzęgniętych w aparaturę kilowatów.

Istvan Grabowski

BRUCE LEE: prawda i legenda

JEET KUNE DO

Do klasy VIII d w jednej ze szkół podstawowych w... (wstawić wedle uznania) przyszedł na lekcję wizytator. Zaczął przechadzać się między rzędami ławek i oglądać zeszyty. W pewnej chwili zapytał jednego z uczniów o nazwisko. „Bruce Lee" — usłyszał. Potraktował to jako żart i zapytał następnego z brzegu. Znów był to „Bruce Lee". Podobnie zresztą jak i trzeci, czwarty, dwudziesty, trzydziesty itd. Cała klasa utrzymywała, że nazywa się „Bruce Lee". Zaniepokojony swoim odkryciem, wizytator udał się do dyrektora szkoły.

— Panie kolego, zwariowała panu cała klasa! Wszyscy mówią, że są Bruce'ami Lee... — zawołał od drzwi.

— Która to klasa? — zpytał spokojnie dyrektor.

— Ósma „d"...

— Nie, to niemożliwe. Bruce'a Lee u nich nie ma. Oszukali pana... Cała szkoła wie dobrze, że Bruce Lee to JA!

Co było dalej? Nie wiadomo. Dowcip na ten temat milczy.

Zaczynam tym razem od kawału, bo jest to też jakaś miara popularności i powszechności zjawiska pt. Bruce Lee. Zresztą jest także piosenka lansowana w radiu, nawiązująca ironicznie zresztą do tematu, śpiewana przez niejakiego Franka Kimono, którego timbre przypomina dziwnie jakoś Piotra Fronczewskiego.

Napływają też do redakcji listy świadczące o dużym — hmmm — przywiązaniu naszych Czytelniczek do „Małego Smoka". Jedna z nich utrzymuje, że zna ciało aktora lepiej niż... mapę Polski. Jeszcze inna ubolewa, że w „Wejściu Smoka" nie pokazano scen łóżkowych z udziałem Bruce'a Lee i suponuje, iż w „tych sprawach" zapewne był równie dobry, jak w walce. Inna znów, że zrobiłaby dla niego, co by tylko zechciał, i to bez wahania.

Zgodnie z zapowiedziami w poprzednich odcinkach cyklu, informujemy, że trwa konkurs na wypowiedzi o fenomenie Bruce'a Lee. Na autorów najciekawszych czekają oprócz nagród (3×1000 zł i 3×500 zł) także łamy „Kameny". Termin nadsyłania — do chwili zakończenia cyklu.

Kończąc ten wstęp, muszę rozczarować tych, którzy prosili o fotosy i... autografy (na Boga: skąd?). Nie mam możliwości ich rozsyłania nawet — jak sugerują niektórzy — za zaliczeniem pocztowym. Daję satysfakcję także Danusi Elżasiewicz (uczennicy szkoły podstawowej z Kielc), która napisała, że oglądała „Wejście Smoka" ... 47 (!?) razy i jest „lepsza" od podanego w pierwszym odcinku wyniku 43 razy. Tak jak sobie życzyłaś, podaję twoje nazwisko. Pozwól jednak, że z gratulacjami się wstrzymam...

OPUŚCILIŚMY „Małego Smoka" w momencie, kiedy otworzył swoją pierwszą szkołę(ółkę?) Kung-fu i stwierdził, że jego propozycje ćwiczenia ciała i ducha trafiły na podatny grunt amerykański oraz że USA nie odrzuciły młodego Chińczyka, spełniając tym samym częściowo jego marzenia. Dziś postaram się przybliżyć stworzony przez Bruce'a Lee styl **JEET KUNE DO** (JKD).

Istnieją rozbieżności na temat czasu powstania ideologii JKD. Jedni twierdzą, że zrodziła się ona w USA, zanim Bruce nawiązał kontakty z biznesem kinematograficznym USA; jako koronny argument przytaczana jest okoliczność otwarcia drugiej „uczelni" Bruce'a Lee o nazwie **Bruce Lee's Kung-Fu Institute**, nim zagrał w serialu **„The Green Hornet"** („Zielony Szerszeń"), emitowanym przez sieć telewizyjną CBS (1965—67). Jeśli miałby jasność co do nowego stylu, a przynajmniej co do jego nazwy, zapewne użyłby jej dla ochrzczenia swojej szkoły. Prawdopodobnym jest więc, że „Smok" wymyślił JKD, mając już za sobą pierwsze sukcesy ekranowe; głównie dla zdobycia większego rozgłosu i silnego zaakcentowania filozoficznego podłoża proponowanego stylu walki.

Inna wersja. Formułują ją zwolennicy Bruce'a. Głosi ona mianowicie, że zalążki JEET KUNE DO powstały jeszcze, kiedy nasz bohater mieszkał w Honkongu i następnie ewoluowały do pełnej postaci wyartykułowanej w książce **„Tao Jeet Kune Do"**, opublikowanej w rok po śmierci Bruce'a w Kalifornii. Zwolennicy utrzymują, że książka ta była pisana przez „Małego Smoka" wiele lat, lecz zastrzegł, iż może się ukazać dopiero po jego śmierci. Dlaczego nie używał zatem nazwy JKD? Przez wrodzoną skromność i pokorę wobec sztuki walki Kung-fu, z której przecież czerpał od młodości. Nie jest trudno zauważyć, iż wersja druga jest o wiele efektowniejsza i legendotwórcza.

Jak było naprawdę, trudno dziś dociec.

Zacznijmy od wyjaśnienia nazwy. Słowo **JEET** (czyt. dżit) oznacza rozpoznawanie, identyfikowanie. **KUNE** (czyt. kjum) = pięść, ale i styl. Zaś **DO** to droga lub prawda. Można to sobie tłumaczyć na polski różnie. Poszczególne elementy nazwy wymagają jednak pewnej interpretacji. O ile użycie w niej nazwy części ciała (KUNE) nie jest niczym nowym i ma swoje odpowiedniki w innych nazwach stylów walk, np. w TAEKWON-DO (TAE = stopa, KWON = pięść, DO = droga), o tyle już zwrócenie uwagi na konkretne działanie, czy stan organizmu, jest sprawą oryginalną.

Owo KUNE (rozpoznawanie, identyfikowanie) umieszczone jest na pierwszym miejscu, co przydaje mu szczególnego znaczenia. Bruce, wymieniając trzy zasadnicze etapy (fazy) walki, zawsze największą rolę przywiązywał właśnie do KUNE, do **rozpoznania**, „rozszyfrowania", „przeczytania" swego przeciwnika, odgadnięcia jego zamiarów, bądź na tyle szybkiego zidentyfikowania zamiaru (kierunku ataku, siły i zastosowanej techniki) już po rozpoczęciu przez wroga akcji (!), że możliwy jest skuteczny kontratak. Tak więc faza KUNE miała polegać przede wszystkim na maksymalnej koncentracji receptorycznej i gotowości układu mięśniowego do działania. Dobrze jest to widoczne w filmowym pojedynku Bruce'a z O'Harą w „Wejściu Smoka". Obaj przeciwnicy zastygają w bezruchu ze skrzyżowanymi, na wysokości twarzy prawymi pięściami, po czym następuje błyskawiczne uderzenie Bruce'a wyprzedzające akcję potężnego O'Hary. Nie ulega wątpliwości, że scena ta, z kilkakrotnym zresztą powtarzaniem uderzenia, ma cel wybitnie ilustracyjny dla JKD.

Drugim etapem walki — według JKD — jest **osiągnięcie przeciwnika** („dojście" go). Trzecim zaś, **skuteczny atak**, czyli wyeliminowanie wroga. Faza trzecia, o ile to możliwe, powinna walkę kończyć. Jeżeli zaś pojedynek toczy się naprawdę, powinna po prostu eliminować przeciwnika na bardzo długo, a najlepiej jeśli na zawsze.

Reguły formalne (ciosy, uderzenia nożne, bloki, zasłony itd.) nie miały w JKD żadnej kodyfikacji, co Lee uważał za najważniejszy sukces stylu. Po prostu: **BRAK REGUŁ JAKO REGUŁA.** Tu wypada przytoczyć sakramentalne słowa: *Nigdy nie wiesz, co zrobię, i ja sam nie wiem tego. Moje działanie jest rezultatem twego działania, moja technika jest odpowiedzią na twoją technikę.* Amen. I przypomnijmy sobie, jak w „Wejściu Smoka" Bruce instruuje swego ucznia, kilkuletniego chłopca. Zwraca mu uwagę na konieczność stałego uważania na potencjalnego przeciwnika (nawet w ukłonie) i maksymalnej koncentracji na jego działaniu.

Słowem, JKD miało być stylem bezstylowym, intuicyjnym. Stylem łączącym mnogość elementów wschodnich stylów walki wręcz (Karate, Kung-fu, Taekwon-do, Judo) i walk przy użyciu przedmiotów (Kendo, Nunchaku) i pozostawiającym w o l n o ś ć w y b o r u najbardziej skutecznego w danym momencie walki. Owa u ż y t e c z n o ś ć stanowiła o popularności JKD w USA i w ogóle na Zachodzie, a więc w kręgu cywilizacyjnym silnie zorientowanym na efektywność działania i związany z tym sukces społeczny i osobisty (silnie zresztą i różnorodnie gratyfikowany: ludzie sukcesu nie schodzą w USA z pierwszych stron gazet i ekranów tv.

Do tych, mało skomplikowanych, wskazań technicznych, Bruce Lee dokładał także podbudowę filozoficzną i psychologiczną (można dodać „pseudo"). Zatrzymajmy się przy nich.

Filozoficzną bazą JKD było oczywiście Kung-fu (i w związku z tym genetycznie Zen) Celem człowieka jest współbrzmienie z otaczającym światem. Droga do tego wiedzie poprzez poznanie świata. Poznanie świata nie może się odbywać inaczej, jak poprzez poznanie samego siebie. Poznanie samego siebie nie jest możliwe bez wyrobienia (w sobie) odpowiedniej samokontroli, będącej właśnie podstawą samorealizacji. Samoświadomość i samokontrola psychiczna, duchowa jest niemożliwa bez samopoznania i samokontroli fizycznej. Podstawą więc staje się zapanowanie nad — na początek — ciałem. Jak? Drogą długich ćwiczeń fizycznych; żmudnych, wyczerpujących, często brutalnych.

Ciało jest więzieniem duszy. Jeśli więc organizm osiągnie stopień wytrenowania bliski idealnemu, owa koegzystencja stanie się mniej dolegliwa, dokuczliwa. Duch i ciało zbliżą się i ich wzajemne oddziaływanie będzie pełniejsze. Brzmi to metafizycznie, ale obserwacje stanu wytrenowania fizycznego i zdolności kierowania nawet fizjologią organizmu przez mnichów tybetańskich zdają się potwierdzać słuszność prezentowanych wyżej wywodów. By nie powtarzać rzeczy znanych, zauważmy, że mieszkańcy klasztorów Tybetu potrafią, na przykład, regulować rytm serca, wydzielanie gruczołów dokrewnych (hormonalnych), czy wytwarzać pole bioenergetyczne o niespotykanych właściwościach (znane są przypadki kilkunastometrowych skoków, oparte najprawdopodobniej na zamierzonym zmniejszeniu pola grawitacji wokół osoby je wykonującej). Nie należy rozumieć, iż zdolności paranormalne są udziałem wszystkich mnichów tybetańskich, i że miał je także nasz bohater — „Mały Smok". Informacje te mają jedynie zilustrować spójność koncepcji wskazujących na możliwości silnego powiązania psyche i somy z niewątpliwym pożytkiem osobistym. Jedną z nich jest Zen — zaplecze filozoficzne Kung-fu, stylu Wing Tsun lansowanego przez Yip Mana, mistrza Bruce Lee, i wreszcie samego JKD. Bez ryzyka błędu można przyjąć, iż w przypadku ostatnim było te zaplecze dość iluzoryczne.

Lojalnie trzeba też zauważyć, iż pseudofilozoficzne przesłania wypowiadane przez Bruce'a Lee znajdowały wielu krytyków. Zarzucano mu, że ignoruje wartości kulturowe Kung-fu, przede wszystkim udział sztuk pięknych w kształtowaniu osobowości (równie ważny, jak medytacje i ćwiczenia cielesne). Podobnie krytykowano go za ignorancję w materii wiedzy medycznej, na którą w Kung-fu kładzie się także wielki nacisk. Wielu mistrzów Kung-fu było znakomitymi lekarzami, masażystami, zielarzami, specjalistami akupunktury. Słowem, ukazywano go jako oszusta bez skrupułów używającego słów: kultura, sztuka, filozofia w celach czysto komercyjnych. Czy JKD było bardziej, czy mniej wzbogacone duchowo, stawało się mniej ważne, niż ukazywanie walorów osobistych (zgrabności, urody etc.).

Jeśli idzie o psychologię JKD, również mało skomplikowaną, Bruce Lee uważał, że o powodzeniu stanowi przede wszystkim sfera motywacyjna i na tę właśnie zwracał największą uwagę. Głównym motywem działania (a przedtem doprowadzania do stanu gotowości) miała być n i e n a w i ś ć do przeciwnika. Twierdził, że tylko taki stan, odpowiadający w jakimś sensie sytuacji realnej walki (na śmierć i życie), wyzwala maksymalną koncentrację psychiczną, w tym przede wszystkim gotowość percepcyjną, owo KUNE. W tym miejscu wyłaniał się jednak istotny problem natury praktycznej. Stan efektywny, jakim jest nienawiść, nie sprzyja (przynajmniej nie zawsze) pełnej gotowości fizycznej organizmu, zwiększa się bowiem napięcie mięśniowe; podczas gdy w walce wymagane jest rozluźnienie mięśni tak, aby „odpoczywały", a reagowały z pełną siłą w momencie ataku, czy obrony. Bruce starał się ten problem ominąć, tworząc pojęcie „nienawiści samej w sobie", „czystej", nie związanej z konkretną sytuacją, czy zdarzeniem. Służyły zresztą temu specjalne treningi. Warto też zauważyć, iż okrzyki w czasie walki miały pełnić rolę swoistego „wentyla" emocji, poza oczywiście konkretną funkcją regulacji oddechowej. Tworzeniu „czystej" nienawiści miało służyć, na przykład, doprowadzanie ćwiczących do wyczerpania fizycznego (niekiedy skrajnego) w trakcie treningu, czy walki sparringowej. Kontrola intelektualna emocji ulegała wówczas znacznemu obniżeniu. Zdarzało się, że trenujący u Bruce'a Lee, poturbowany przez mistrza, ledwie trzymający się na nogach i gotów do najgorszego, w takiej właśnie sytuacji ekstremalnej wykonywał prawidłowy atak i... otrzymywał pochwałę. Pewna powtarzalność takich sytuacji miała sprzyjać mobilizacji sił i umiejętności (pod wpływem nienawiści) w coraz krótszym czasie.

Innym problemem natury psychologicznej wartym uwagi była wybiórczość percepcyjna. Koncentracja na przeciwniku musiała być tak duża, że dopływ informacji zamykał się tylko do określonych zmysłów. Zazwyczaj do percepcji wzrokowej i czucia mięśniowego. Bruce obserwował przeciwnika i czuł jego napięcie mięśniowe, pozostając jednocześnie „głuchym". Oczywiście w innych sytuacjach (np. walki w ciemności — wybiorczość sprowadzała się do słuchu i węchu) szczególnemu wyostrzeniu powinny ulegać inne zmysły.

JKD jako styl bez stylu przyjmował prymat praktyki nad teorią. I tu wska-

Reprodukcja: Jacek Mirosław

„Nigdy nie wiesz, co zrobię, i ja nie wiem tego..."

zaniem praktycznym była dewiza „Małego Smoka": *Aby nauczyć się pływania, nie pomogą ćwiczenia książkowe. To trzeba przeżyć. Tak samo jest z Jeet Kune Do.* A więc trening i po stokroć trening.

Nie jest celem tej publikacji opisywanie metodyki treningowej JKD. Warto jednak zauważyć, iż szczególne znaczenie przywiązywał Lee do ćwiczeń mięśni brzucha oraz stawów biodrowych, stąd bowiem, anatomicznie rzecz dostrzegając, bierze się źródło ruchu zdecydowanej większości technik JKD. Być może brzmi to jak paradoks, gdy widzi się na ekranie efektowne ciosy rąk Bruce'a, ale tak jest w rzeczywistości; radzimy prześledzić przy sposobności.

Utrzymując cały czas, że najlepszym przeciwnikiem jest żywy człowiek, Bruce nie zaniedbywał ćwiczeń na przyrządach. W domu rodziców w Hongkongu miał własny pokój treningowy. Znajdowała się w nim drewniana kukła, przypominająca człowieka, pokryta masą plastyczną i przymocowana do podłogi, na sprężynie o sile oporu mocno stojącego na nogach dorosłego człowieka o wadze 180 funtów (ok. 90 kg). Był dwustufuntowy (100-kilowy) worek z fasolą, do ćwiczenia uderzeń. Przede wszystkim zaś pneumatyczna poduszka, którą umieszczać można było w różnych miejscach ścian i sufitu — cel ataków.

Podobne wyposażenie Bruce Lee miał także w USA i przedmioty treningowe były w użyciu przez kilka godzin dziennie. Warto też wiedzieć, że oprócz ćwiczeń technicznych w sali, Bruce uprawiał jogging (6—10 km codziennie rano), typowe ćwiczenia izometryczne (napinanie i rozluźnianie mięśni w określonym rytmie), a także ćwiczenia siłowe z hantlami i ciężarkami. Dawki treningowe zmieniały się w zależności od innych zajęć (np. pracy nad filmem) i ewentualne ograniczenia dotyczyć mogły układów technicznych, nie zaś sprawności i siły ogólnej, które są bazą techniki.

Bruce Lee dużą wagę przywiązywał do diety. Uważał ją za ważny element treningowy. Dla swoich uczniów układał indywidualne diety w zależności od budowy ciała, sprawności etc. Sam żywił się w sposób mało urozmaicony. Przede wszystkim unikał ménu wielodaniowego. Rano wypijał 5—7 świeżych jaj i 2—3 litry mleka. Uzupełnieniem były grzanki z chleba lub cornflakes. Na obiad spożywał wołowinę, najczęściej surową, w postaci befsztyka (u nas zwanego „tatarem"). Do mięsa duże ilości jarzyn i niewiele ryżu. Na deser — soki wyciskane z owoców. Kolacji nie jadł. Często do mleka dosypywał sproszkowane skorupki kurzych jaj, ale wyłącznie od kur żywionych w warunkach naturalnych (specjalnie dla niego hodowanych).

Oczywiście „Mały Smok" (przynajmniej w początkach swej wielkiej kariery) nie pił alkoholu, nie palił papierosów i nie zaniedbywał pracy umysłowej. Tak utrzymują zwolennicy. Nie dodając jednak, że Bruce dość obficie korzystał z wdzięków dziewczęcych, jakimi chętnie był obdarzany.

Na tym w zasadzie można by było zakończyć odcinek o JKD; jako motto — choć w może niestosownym miejscu — przytoczę fragment wypowiedzi Bruce'a dla „Black Belt Magazine", specjalistycznego pisma zajmującego się sportami walki, z 1971 roku:

Raz jeszcze i na zawsze chciałem powiedzieć, że nie stworzyłem żadnego nowego stylu. Nie różni się on od innych takimi czy innymi metodami, przepisami. Mam w związku z tym nadzieję, że moi koledzy — mistrzowie nie czują się niewolnikami swoich stylów.

Mimo takich deklaracji Bruce Lee wcale nie był aż tak w o l n y m i podlegał rozlicznym — jednak — ograniczeniom. Także i ze strony swego stylu bez stylu. O czym w następnym odcinku.

(cdn.)

Michał Rey

Ekran i widz

Wojna u Spielberga

ŻEBY nie było nieporozumień: ja też kocham i podziwiam Stevena Spielberga, ale — nie ślepo i bezgranicznie. Dlatego pozwolę sobie zaraz na wstępie stwierdzić, iż nie podzielam zdania wielu moich kolegów — recenzentów, jakoby prezentowany od pewnego czasu na naszych ekranach film tego reżysera pod lakonicznym tytułem: „1941" — był „kolejną pyszną zabawą", „feerią niezapomnianych pomysłów i gagów", „eksplozją humoru", „błyskotliwym pastiszem", itede, itepe. Uważam natomiast, iż owa „wojenna burleska" wybitnie utalentowanego młodego reżysera amerykańskiego jest filmem dość miernym, pozostającym daleko w tyle za innymi, dobrze nam znanymi obrazami, utrzymanymi w podobnej, komediowej tonacji.

Wojna w ujęciu komediowym czy też satyrycznym, a więc groza, gwałt i okrucieństwo „en masse", sprowadzone do granic absurdu po to, aby jeszcze bardziej uwypuklić bezsens wzajemnego mordowania się przez całe społeczeństwa, otóż wojna w takim właśnie ujęciu ma już na ekranach filmowych wcale długą historię. To właśnie Chaplin wykorzystał, jako pierwszy, ów punkt widzenia, tworząc „Charlie żołnierzem"; film przyniósł mu światową popularność i zrozumienie wśród tych, którzy sami przeszli przez piekło okopów pierwszej wojny światowej. Z czasów ostatniej wojny pamiętamy nakręconą w Stanach Zjednoczonych przez Ernesta Lubitscha tzw. komedię pomyłek „Być albo nie być", której akcja dzieje się w okupacyjnym warszawskim środowisku teatralnym. Po wojnie Czesi nakręcili kapitalną (a prawie już dzisiaj zupełnie zapomnianą), opartą na slap-sticku komedię „Nikt nic nie wie" o niesamowitych okupacyjnych przygodach dwóch muzyków-filharmoników, którzy w futerale kontrabasu, przypadkowo zamienionym z działaczami ruchu oporu, znaleźli cały arsenał broni. Wreszcie — mieliśmy filmy w rodzaju „Babette idzie na wojnę" (z Brigitte Bardot), „Wielka włóczęga" (z Bourvilem i de Funesem) i kapitalne, amerykańskie, przeraźliwie satyryczne „Złoto dla zuchwałych" z kreacją Davida Sunderlanda jako czołgisty-wariata dokonującego czynów bohaterskich. Także nasza kinematografia sięgała niejeden raz do podobnych wzorów, że wspomnę tylko „Giuseppe w Warszawie" czy „Jak rozpętałem drugą wojnę światową".

Przystępując do realizacji „1941", Spielberg opierał się na istotnie kapitalnym pomyśle scenariuszowym: jak m o g ł a b y wyglądać wojna na kontynencie amerykańskim, gdyby Japończycy w kilka dni po napaści na Pearl Harbour, po owym niezwykłym wstrząsie psychicznym, jaki przeżyli wówczas Amerykanie, wysadzili morski desant na wybrzeżu Stanów Zjednoczonych. Istotnie, w początkowej fazie wojny japońsko-amerykańskiej panowała wśród społeczeństwa USA psychoza możliwości podobnego ataku. Oczywiście Steven Spielberg nie byłby sobą, gdyby tego problemu nie wyolbrzymił do wymiaru kosmicznej zgrywy: oto w jego „interpretacji" oszalały z nienawiści dowódca japońskiego okrętu podwodnego usiłuje dokonać samotnego ataku na... Hollywood, miasto-symbol zepsucia i deprawacji białej rasy!

Wszystko, co się później dzieje przez dwie godziny na ekranie, jest konsekwencją owej wariackiej decyzji: na lądzie powstaje nieprawdopodobny bałagan wśród wojsk amerykańskich, na morzu — bałagan wśród załogi oddanego w użytkowanie Japończykom niemieckiego U-boota. Właśnie wszechobecny b a ł a g a n jest... głównym elementem konstrukcyjnym filmu Spielberga. Aby jednak mimo wszystko uporządkować chaos przeplatających się ze sobą scen, scenek i sekwencji, gdzie burleska spotyka się z groteską, satyra goni komedię, a slap-stick ociera się o młodzieńczą błazenadę, reżyser wprowadza wątły, ale wyraźnie zaznaczający się wątek dwojga zakochanych, postanawiających stanąć do konkursu boogie-woogie organizowanego w jednej z wojskowych kantyn w Los Angeles. Cel zostaje osiągnięty, ale dzięki jakim ofiarom i przy jakich zagrożeniach! Groźny osiłek seksualny kapral Sitarski (Polaków spotykamy — jak wiadomo — na każdej szerokości geograficznej i w każdej konfliktowej sytuacji) o mało nie rozbije miłosnego stadła, a walące się ściany kantyny ledwie nie pogrzebią pod sobą całej roztańczonej sali.

Konkurs boogie-woogie jest zresztą jedną z najlepszych, z prawdziwą maestrią wyreżyserowaną i nakręconą, sekwencją „1941". Przebija ją tylko sekwencja „samolotowa", trochę nasuwająca skojarzenia z jednym z opowiadań Mrożka, historia pewnej młodej i przystojnej sekretarki generała, która potrafi uprawiać miłość jedynie... za sterami lecącego bombowca.

No i wreszcie „1941" — jako pastisz. Jako zabawa polegająca na odgadywaniu postawionych przez reżysera zagadek. Owa „świadomość — jak pisał jeden z krytyków francuskich — że już to gdzieś widzieliśmy. To „gdzieś" to majstersztyki Laurela i Hardy'ego, najlepsze filmy Blake Edwardsa, Freda Astaire'a. [...] Dostrzegłem dwie, trzy aluzje do Bustera Keatona, Jerry Lewisa i Woody Allena..."

Tak, to wszystko prawda. Tylko, że w sumie „wspaniała zabawa" jakoś się Spielbergowi w realizacji rozłazi, a od nieustannych „fajerwerków pomysłów" powiewa — o ironio! — nudą. Może właśnie p o m y s ł ó w wpakował Spielberg do tego filmu zbyt wiele. Może zamierzony c h a o s wciągnął w końcu i samego reżysera w swoją orbitę? W konsekwencji gdzieś umyka na boki „zabawność" filmu. A brak zabawy to klęska komedii.

Stanowczo wolę Spielberga w Kosmosie niż na wojnie.

M. D.

KRZYŻÓWKA NR 18

Szyfrogram literacki

1	2	3	4	5	■	6	7	8	■	9	10	11	■	12	13	14
■	15	16	17	18	■	19	20	21	22	23	24	■	25	26	27	■
28	29	30	31	32	33	■	34	35	36	■	37	38	39	40	■	41
42	43	44	45	46	47	48	■	49	■	50	51	52	53	54	■	55
56	57	58	59	■	60	61	62	63	64	65	66	67	■	68	69	70
71	72	73	74	75	76	■	■	77	78	■	79	80	81	82	83	84
85	86	87	88	■	89	90	91	92	■	93	94	95	■	96	97	98
99	100	101	102	103	104	105	■	106	107	108	109	110	111	■	112	113
■	114	115	116	■	117	118	119	120	121	122	123	124	125	126	127	■
128	129	130	131	132	133	■	134	135	136	137	138	139	140	141	■	142
■	143	144	145	146	147	■	148	149	150	151	152	153	■	154	155	156
157	158	159	160	161	162	163	■	164	165	166	167	168	169	170	171	■

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu na miejsce liczb odpowiadające im litery i odczytać rozwiązanie — fragment noweli pisarza, którego imię i nazwisko utworzą pierwsze litery 17 początkowych wyrazów pomocniczych. Czarne pojedyncze kratki w diagramie oznaczają koniec słowa, a podwójne — zdania.

W y r a z y p o m o c n i c z e:

1. arystokratyczny tytuł — 138. 139. 3. 9. 24. 13.
2. rzeczoznawca — 5. 36. 128. 96. 59. 43. 143.
3. skrajna bieda — 6. 122. 19. 167. 163.
4. rada ministrów — 28. 20. 133. 64.
5. człowiek śniegu — 10. 8. 53. 48.
6. świątynia — 42. 131. 123. 148. 101. 57. 11.
7. badanie zwłok — 41. 32. 14. 137. 37. 160.
8. mięsisty ptak — 15. 77. 109. 115. 47.
9. leningradzkie muzeum — 18. 136. 100. 152. 93. 54. 114.
10. na przednie lub tylne koła — 52. 29. 46. 150. 83.
11. hokejowa piłka — 171. 58. 141. 146. 82. 55.
12. przymiotnik lub przysłówek powstały z czasownika — 21. 134. 125. 30. 164. 75. 85. 65.
13. wybór — 22. 62. 110. 145. 151. 34. 78.
14. kiepski piosenkarz — 1. 168. 12. 102. 23.
15. najazd — 66. 17. 86. 153. 44. 119. 135.
16. tęgie baty — 2. 162. 71. 106. 157.
17. rośliny lecznicze — 73. 7. 40. 116. 118.
18. knajpa, karczma — 156. 91. 45. 16. 87.
19. tłustoczwartkowe — 79. 133. 72. 121. 163. 142.
20. borowik — 39. 69. 81. 92. 25.
21. ruch wody morskiej powodowany przez księżyc — 89. 97. 60. 94. 154. 105. 76. 139.
22. przedmiot — 90. 70. 170. 30. 49.
23. nędzna szmata — 107. 104. 120. 149. 95. 74. 84.
24. pojazd napędzany ręcznie — 159. 80. 126. 98. 26. 117. 144.
25. następny dzień — 127. 88. 56. 166. 103.
26. dziury w drodze — 132. 99. 112. 51. 33. 63.
27. część głowy do pukania — 124. 31. 113. 27. 155.
28. ze stolicą Brukselą — 68. 147. 4. 50. 140 61.
29. wielka rzeka zach. Europy — 103. 87. 161.
30. kuguar — 169. 129. 111. 35.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI-SZYFROGRAMU NR 16

Do Cisów zjeżdżały z całego kraju, a nawet z daleka familie arystokratyczne dla rozrywki. Zakład usiłował zyskać sobie opinię stacji letniej europejskiej i urządzał się coraz wykwintniej.

Stefan Żeromski

Fragment z „Ludzi bezdomnych".

Nagrodę wylosowała Ludwika Harczuk, Czołki, 22-424 Sitno.

ARCHIWUM MISTRZÓW ANEGDOTY

Wysoki duchowny prosił Moliera, aby coś ofiarował na klasztor.

— Zbyt wiele mam długów — odpowiedział komediopisarz.

— Winien jesteś Bogu więcej, aniżeli wszystkim twoim wierzycielom razem wziętym! — zawołał zakonnik.

— Oczywiście — odparł autor „Świętoszka" — ale Pan Bóg nie nalega tak natarczywie o spłatę długów, jak ziemscy wierzyciele.

*

Heine, będąc w Paryżu, spotkał w czasie rannego spaceru jednego ze swych znajomych, który powitał go słowami:

— Jak to świetnie, że rozpoczynam dzień od spotkania z tak porządnym człowiekiem, jak ty, Henryku!

— Cóż, zawsze miałeś więcej szczęścia ode mnie...

*

Gdy pisarz angielski, Somerset Maugham dowiedział się, że chcą mu przyznać tytuł lorda, oświadczył:

— W moim wieku autorowi potrzebny jest nie tytuł, ale spis rzeczy...

*

Balzac stale był zadłużony i nachodzony przez zniecierpliwionych wierzycieli. Pewnego razu ukrył się przed prześladowcami w hotelu na przedmieściu Paryża. Rano obudziło go gwałtowne pukanie do drzwi.

— Nie ma mnie! Wyszedłem z domu! — zawołał pisarz, chowając głowę pod kołdrą.

— Nonsens! — krzyknął natrętny gość.

— Pańskie obuwie stoi przecież przed drzwiami...

— Wyszedłem w rannych pantoflach!

*

— Co według pana jest szczęściem? — spytano kiedyś Ernesta Hemingway'a. Sławny pisarz powiedział:

— Dobre zdrowie i słaba pamięć.

Wyszperał: **Ryszard Dunin**

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk, Waldemar Piasecki, Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.
Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątki w godz. 14—16.
Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-36.
Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie, ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36231.
Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1.
Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1259/83. 1.06.83 S-8

Jan Tomaszewski

(16)

CO JEST W TEJ PIŁCE ?

Co mi zrobi Bajević?

Gry i zabawy (tym razem z córką). Foto: Cezary Krupa

PYTANIE takie zadawali sobie fachowcy od futbolu, kiedy 9 maja 1973 roku na Stadionie Olimpijskim w Monachium reprezentacja NRF przegrała z Jugosławią 0:1, a bramkę strzelił znakomity napastnik „Plavich" Duszan Bajvič. Związek ze mną był zaś taki, że cztery dni później Jugosłowianie mieli egzaminować nas na Stadionie X-lecia.

Należą się tu pewne szczegóły. Otóż Niemcy w chwili meczu z Jugosłowianami byli mistrzami Europy, a postaci takie jak Gerhard (Gerdi) Mueller, Franz Beckenbauer, Günther Netzer, Sepp Maier były na ustach całej piłkarskiej Europy, zwłaszcza, że pucharową karierę robił „Bayern" Monachium, z którego rekrutowało się sześciu zawodników kadry.

Przebieg spotkania z Jugosławią był zupełnie sensacyjny. Niemcy ruszyli do ataku od pierwszej minuty i już w piątej za faul na polu karnym sędzia wskazał „wapno". Kiedy do piłki podchodził Mueller, nikt nie przypuszczał, że może zdarzyć się jakaś niespodzianka. Gerdi strzelił silnie, tuż przy słupku i na trudnej dla bramkarza wysokości 1,20 metra. I stała się rzecz niezwykła: Enver Marič znakomicie „przeczytał" zamiar Muellera i odbił piłkę, po wspaniałej paradzie, na korner. Był to — bodaj — pierwszy przypadek „pomyłki" Gerdiego z „jedenastki" w meczu reprezentacji (a był ich etatowym wykonawcą). Od tego momentu Jugosłowianie odważniej poszli do przodu, natomiast Niemcy byli wyraźnie zdeprymowani. W pierwszej połowie Marič znakomicie obronił jeszcze trzy strzały w sytuacjach stuprocentowych. Tego się nikt nie spodziewał.

W drugiej części meczu gra się wyrównała, przy czym nadal „życiówkę" grał bramkarz „Plavich". Na kwadrans przed końcowym gwizdkiem szczęście uśmiechnęło się do Jugosławii. Za ewidentny faul na polu karnym sędzia drugi raz wskazał na „jedenastkę", przeciwko gospodarzom. Sprawa była oczywista i nawet piłkarze niemieccy nie protestowali. Karnego strzelał as atutowy Jugosłowian, środkowy napastnik „Velezu" Mostar Duszan Bajević. Uderzył bardzo silnie i Maier nie miał nic do powiedzenia. Niemcy ruszyli do szturmu, ale nic im z tego nie przyszło. W 89 minucie Mueller znalazł się sam na sam z Maričem i znów bramkarz gości był lepszy. Mecz okrzyknięto wydarzeniem sezonu, a dla Jugosłowian nie miano słów uznania. Przede wszystkim komplementy zbierali dwaj gracze „Velezu" Marič i Bajević, którzy walnie przyczynili się do sukcesu swojej drużyny narodowej.

Właśnie ci komplementowani przez całą sportową prasę europejską Jugosłowianie mieli zjechać na sparring z nami. Nie dość, że przeciwnik był znakomity, to jeszcze mieliśmy prawdziwego pecha. Pięć dni przed meczem Jurek Gorgoń złapał kontuzję kolana i tym samym odpadł z gry. Zachorował Gut, a na trzy dni przed spotkaniem Leszkowi Ćmikiewiczowi odnowiła się stara kontuzja nogi. Tym sposobem zdekompletowana została cała niemal obrona. W każdym razie nie można było liczyć na stoperów. „Kazio" Górski, widząc, co się szykuje, ściągnął natychmiast z Krakowa Szymanowskiego i Musiała oraz z Rybnika — Wieczorka. Zakładał, że wypróbuje skrzydłowych obrońców „Wisły", a w środku właśnie Wieczorka i Kraskę, gracza bardzo wszechstronnego w grze defensywnej. Przy takim założeniu pomoc stanowiliby Deyna, Kasperczak i... Ano właśnie: kto? Może Kasztelan, może Ma[illegible]ler? Niestety, okazało się, że Kasperczak nie jest w życiowej dyspozycji i odważne eksperymentowanie z drugą linią może wyjść bokiem. Trener Górski cofnął do środka Kraskę i zagrał pokerowo, ściągając w ostatniej chwili z Łodzi Mirka Bulzackiego, 22-letniego potężnie zbudowanego stopera mojego klubu. Tak więc obrona zestawiona została z zawodników o znikomym stażu w reprezentacji narodowej, a w przypadku Bulzackiego i Wieczorka — debiutantów.

Nasz skład mógł wyglądać już tylko następująco: Tomaszewski — Szymanowski, Bulzacki, Wieczorek, Musiał — Kasperczak, Deyna, Kraska — Banaś, Lubański, Gadocha. Przy obsadzie bramkarza i prawego napastnika mogły być pewne wątpliwości, bo po pierwsze — w dobrej dyspozycji utrzymywał się nadal Marian Szeja, a po drugie — obok Banasia kandydowali jeszcze do gry Masztaler, Kmiecik. Ostatecznie jednak wybiegliśmy w zestawieniu jak wyżej.

„Plavi" przybyli do Warszawy bardzo pewni siebie i nie ukrywali, że interesuje ich zwycięstwo. Przybył z nimi słynny Dragan Džajić z nogą w gipsie, żeby kibicować i być świadkiem sukcesu swoich kolegów.

Nasi przeciwnicy wyszli ostatecznie na boisko w składzie: Marič — Stepanovič, Bogicevič, Katalinski, Pavlovič — Holcer, Acimovič, Vladič — Petkovič, Bajević, Oblak.

Podczas czytania składów, przy moim nazwisku, było trochę gwizdów. Kibice warszawscy nie mogli mi widać jeszcze darować fatalnego meczu z RFN. Czułem się jakoś niewyraźnie. Stadion X-lecia coś mi jednak przypominał.

Po rozpoczęciu gry wywalczyliśmy korner. Piłkę ustawił Banaś i silnie, fałszem dośrodkował. Do lecącej piłki wyskoczył Lubański i wydawało się, że ledwie ją musnął czupryną. Po czym zobaczyliśmy piłkę w siatce. Początek był więc znakomity i niespodziewany. Prowadziliśmy 1:0. Jugosłowianie rozsierdzeni ruszyli do ataku i przez prawie 15 minut nie schodzili z naszej połowy. Młyn był duży. Dwukrotnie piąstkowałem górne strzały, ale w 14 minucie obrona nie upilnowała Pavlovića, który otrzymał celne podanie i momentalnie walnął z woleja. Nie do obrony. Po wyrównaniu gra się uspokoiła i praktycznie niewiele ciekawego się działo. „Plavi" wydawali się zadowoleni z remisu do przerwy. I tak też się zakończyła pierwsza połowa.

Po odpoczynku gra się ożywiła. W 50 minucie Włodek strzelił gola, ale sędzia p. Oeberg z Danii go nie uznał. Zmobilizowało to Jugosłowian, a nas niestety zdekoncentrowało. Po prostu uważaliśmy, że Włodek strzelił prawidłową bramkę, a spalony został wymyślony przez sędziego. Takie momenty mszczą się. Po nieudanej próbie złapania na spalonym dwóch graczy przeciwnika, znaleźli się oni niestety na czystej pozycji. Wprowadzony po przerwie Bjeković i Oblak w sytuacji dwa na jeden (ze mną) wymanewrowali mnie dość łatwo i było 1:2. Ruszyłem do Oblaka, ale ten zdążył podać i Bjeković strzelił w zasadzie do pustej bramki.

W 65 minucie po koronkowej akcji Deyna-Kraska-Deyna na czystej pozycji strzałowej znalazł się Masztaler (wszedł za Banasia) i z osiemnastu metrów uderzył od razu i bez namysłu. Piłka wylądowała w okienku Petroviča, który zmienił niedysponowanego Mariča. Od tego momentu przeważaliśmy do końca meczu, ale bramkę strzelili w ostatniej minucie Jugosłowianie (Jerković, również wprowadzony do gry po przerwie). Na szczęście sędzia duński odgwizdał spalonego, co było jakby zadośćuczynieniem za nieuznanie bramki Włodka. Ostatecznie opuszczaliśmy boisko zadowoleni. Podobnie jak i nasi przeciwnicy, którzy bardzo chcieli wygrać, a musieli się zadowolić remisem.

Dla mnie mecz był udany, choć nie postawiłbym sobie za niego najwyższej oceny. Wbrew pozorom, reklamowany Bajević okazał się tego dnia bardzo przeciętny i rzeczywiście nic mi nie zrobił. Nie mógł się pochwalić swoją grą Marič. Słowem nie taki straszny był ten jugosłowiański diabeł.

Jak wypadł eksperyment z ustawieniem naszego zespołu? Niestety, stoperzy dostarczali kibicom wielu wrażeń. Kilkakrotnie nie ustrzegli się błędów, które musieli naprawiać Kraska i... Gadocha, uznany po meczu za najlepszego obrońcę drużyny polskiej. W drugiej linii nie sprawił zawodu Deyna i wspomniany Kraska. W ataku świetnie grał Lubański i zupełnie dobrze Masztaler który okazał się lepszy od Banasia. W sumie trener Górski miał nad czym myśleć. Termin meczu z Anglią (6 czerwca 1973 r.) szybko się zbliżał, a skład daleki był od idealnego.

Tego samego dnia Anglia, grając w Pucharze Wysp Brytyjskich, pokonała Irlandię Północną 2:1 po bramkach Chiversa i prezentując dobrą grę. W tych samych rozgrywkach Szkocja wygrała 2:0 z Walią.

Po spotkaniu z Jugosławią trener nie rozpuścił nas do domów. Pojechaliśmy do Rembertowa przygotowywać się do spotkania z Eire (Irlandią Południową). Mecz miał się odbyć w moim rodzinnym Wrocławiu 16 maja. Naturalnie bardzo chciałem pokazać się przed publicznością wrocławską, no i swoim rodzicom.

Trener Górski ku mojemu rozczarowaniu postanowił wystawić do gry Szeję i dalej, obronę w składzie z Warszawy, pomoc z Kasztelanem, Ćmikiewiczem i Kraską oraz atak z Masztalerem, Lubańskim i Gadochą.

O ile mecz z Jugosławią można by ocenić na czwórkę, o tyle to, co się działo we Wrocławiu, zasługiwało na „3—". Gra się nie kleiła, rwała. Z boiska wiało nudą. Poza może dwiema popisowymi akcjami Lubańskiego, który rozgrywał właśnie 65 mecz w barwach narodowych. Najpierw w 44 minucie znakomicie oszukał obrońców irlandzkich. Po rogu bitym przez Gadochę, podbiegł w kierunku Roberta po czym błyskawicznie zmienił kierunek i precyzyjnie uderzył głową piłkę między słupek a interweniującego bramkarza Kelly'ego. Zaskoczenie było kompletne i 1:0. Na dwie minuty przed końcem otrzymał piłkę 25 metrów od bramki i dostrzegł źle ustawionego bramkarza. Nie patrząc w jego kierunku, rąbnął prostym podbiciem i piłka znów wylądowała w siatce. Kelly nawet się nie ruszył, zupełnie znów zaskoczony. Były to 44 i 45 bramka Włodka w reprezentacji.

Czy mecz ten uspokoił Górskiego i rozjaśnił mu dylematy kadrowe? Na pewno — nie. Nie sprawdził się w pomocy Kasztelan, wymieniony na Kasperczaka. Kiepsko grał Masztaler zmieniony przez Banasia. Ten również nie błyszczał i zastąpił go Kmiecik. Nie budziła zastrzeżeń gra Lubańskiego. Poprawnie grał Gadocha. Obrona i Marian w bramce byli bezrobotni. Tak więc otwarty pozostawał problem pomocy (poza Deyną) i prawnego napastnika.

A z Londynu nadchodziły wieści raczej mało krzepiące. Oto Anglia pokonała 3:0 Walię (bramki: Chivers, Channon, Peters) w Pucharze Wysp, grając — podobno — znakomicie. Prasa, podkreślając dobrą dyspozycję teamu Alfa Ramsey'a, roztaczała przed nami raczej mało obiecujące perspektywy. Mówiło się, że coś z naszym futbolem nie jest najlepiej. Malkontenctwo było tak duże i dokuczliwe, że trener Kazimierz Górski postanowił złożyć rezygnację i rozstać się z reprezentacją bezpośrednio po meczu z Anglią w Chorzowie. Przyjaciele i znajomi odwodzili go od tego zamiaru, pocieszali, przekonywali, jak mogli.

Na ogólnej atmosferze przygotowań i klimatu wokół drużyny narodowej ważyła także (choć nie bezpośrednio) tzw. afera lotniskowa kilku piłkarzy gdańskich. Rzecz się miała następująco. Kilku najbardziej utalentowanych piłkarzy z Wybrzeża, w tym między innymi Zdzisław Puszkarz i Andrzej Kaczmarek (obaj „Lechia" Gdańsk) zostali odwiedzeni przez wysłanników ze Śląska. Proponowano im zmianę barw klubowych w zamian za korzyści finansowe i możliwość gry w pierwszej lidze. Pewnego dnia na gdańskim lotnisku zebrała się doborowa grupa piłkarzy i czekała na samolot do Katowic. Mieli już zakupione bilety. Kilka minut przed odlotem przed budynek lotniska zajechały samochody z działaczami „Lechii" i Puszkarza z Kaczmarkiem „na siłę" zabrano i dowieziono na trening ich macierzystej drużyny. Oprócz nich byli na lotnisku gracze „Arki" Gdynia i MRKS Gdańsk. Wybuchł skandal. Prasa pisała, że nasze piłkarstwo choruje, że potrzeba radykalnej kuracji wstrząsowej. Ujawniono też, że „Polonia" Bytom, która „zapraszała" gdańskich piłkarzy, zadbała o przyjazd także innych, z różnych stron kraju. W końcu Puszkarz i Kaczmarek ukorzyli się publicznie w gazecie gdańskiej i stwierdzili, że zbłądzili, dali się omamić itd.

O sprawie było głośno jeszcze długo i kto wie, co by było dalej, gdyby nie mecz z Anglią który — jak wiadomo — po prostu nam wyszedł znakomicie. Afera lotniskowa nie miała ścisłego powiązania z żadnym zawodnikiem reprezentacji, ale jej wydźwięk w połączeniu z nie najlepszą grą kadry był dość jednoznaczny. Dochodzono tu i owdzie do wniosku, że piłkarzom za dobrze się powodzi i patrzą, skąd by tu wyrwać możliwie najwięcej „szmalu".

W takim klimacie trener Górski szykował nas do spotkania o wszystko z drużyną Shiltona, Moore'a, Chiversa. Żeby był już komplet „szczęścia", na dwa tygodnie przed meczem okazało się, że Włodek Lubański „złapał" na treningu kontuzję... Zbierały się czarne chmury...

(cdn)

Do druku przygotował:
Waldemar Piasecki